NOWY ZBIÓR POEZYJ

A. Żdżarskiego

z dodatkiem rozprawy o poezyi niemieckiéj

TOM I.

W PŁOCKU,

Drukiem Karola Kuliga.

1838.

NOWY ZBIÓR

POEZYI

A. Żdżarskiego,

z dodatkiem rozprawy o poezyi niemieckiej.

TOM I.

Gdy Karpiń[illegible]i ....., piękną otoczony naturą, według własnych uczuć nad Homerem zastanawiać się począł, gdy się zapytał, czemu pienia jego zachwycają ....., położywszy rękę na sercu, zawołał:
Tu jest szkoła Poety!

Każ. Brodziński.

W PŁOCKU,

Drukiem Karola Kuliga.

1838.

ANUL 272030

272031

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

OPIEKUNOM NAUK

Autor poświęca.

Tom 1.

Do tego Tomu przydana jest Rycina,
z Ballady Siedmioro Dziatek.

inv. Zawadzinski.

Lit. F. Schuster.

"Oto nasz Opiekun."

Rycina do Ballady Siedmioro Dziatek.

Jaśnie Wielmożnemu
Radomińskiemu
i Referendarzowi,
Wizytatorowi Jeneral.
Instytutow naukowych
w Krolestwie Polskiem
w dowod wysokiego
poważania.

ofiaruje dzieło swoje

Warszawa
d. 21. Września
1838.

A. Zdziarski
P. G. Pt.

SIEDMIORO DZIATEK.

Ballada z Powieści Ludu.

Siedmioro dziateczek, w lepiance ubogiej,
Na lichem posłaniu, i w nędznej odzieży,
A Ojciec przed świtem opuścił już progi,
Przy Matce zbolałej maleńki syn leży.

* * *

Nieszczęsna dziecina! bo Matki pierś sucha,
Nie wyssie pokarmu, bo Matka bez chleba,
Już tylko ostatnich tchu jego chwil słucha:
Łza oschła na oczach wzniesionych do Nieba.

* * *

Drzwi chatki zaskrzypły, ktoś wpada w rozpaczy!
To Ojciec! to Ojciec! sieroty krzyknęły:
Rzucił coś na ziemię: płacz jego cóż znaczy?
A dzieci torebkę zmoczoną podjęły. —

* * *

Najstarsza córeczka wyjmuje, rozkłada,
I jednę po drugiej troskliwie policzy;
A Ojciec zawoła: ach biada mnie! biada!
Siedm rybek: któż Matce posiłku użyczy.

A dzieci do Ojca, u nóg się przymilą,
Całują: weź, Ojcze, dla siebie dla Matki:
Pięć rybek zostanie, i te nas posilą;
Ojciec je odpycha, struchlałe drżą dziatki.

* * *

Przeklęty poranek! przeklęte wieczory!
I zawsze te siedem, i zawsze tak drobne,
Już mi tchu nie staje, od pory do pory,
Ten tylko posiłek; a ręce wyrobne.—

* * *

Dla pana dzień cały mozołu i pracy,
Pot krwawy aż płynie. Bóg zamknął nam serce!
U niego ostatni, ostatni biedacy!
A pierwsi, co litość stracili w iskierce!

* * *

Ach! mężu, zlituj się, nie bluźnij o Bogu!
Zawoła niewiasta, z boleścią, ze łzami,
Nie bluźnij! bo biada bluźnierców na progu,
Jeszcze Bóg litości nie zamknął nad nami.

* * *

Biada mi!— i wyszedł; niewiasta się zrywa
Lecz już go nie było! nieszczęście przywołał!
Wdarła się do chatki choroba zjadliwa;
Nikt starszych dziateczek ocalić nie zdołał!

W chatce ich pięcioro. — On z wędką szedł znowu;
Lecz jakby zapisał, pięć rybek, nic więcej:
I znowu klął Niebo, wróciwszy z połowu!
I znowu śmierć dwojga za kilka miesięcy!

* * *

Tylko ich już troje:— on z wędką szedł znowu;
Lecz jakby zapisał, trzy rybki, nic więcej:
I znowu klął Niebo, wróciwszy z połowu;
Już samo niemowlę, za kilka miesięcy.

* * *

Zatrząsł się bluźnierca, piersi mu lód ścina,
I na nim choroba wywarła swe jady:
Bóg w niego wstępuje, o Bogu wspomina,
I Niebu przyjemne do serca wziął rady.

* * *

Jak same drzwi chatki zwolna się otwarły;
A blady poranek jeszcze był nie błysnął;
I leżał znędzniały, i na pół umarły:
I ktoś go za rękę, jak Ojca, uścisnął.

* * *

Tuż przy nim stanęły stracone dzieciny;
A córka najstarsza przemowi w te słowa:
Bóg, Ojcze! przedłużył dni twoich godziny;
Dla Matki, dla dzieci Bóg ciebie zachowa.

Ale go modłami czcij zawsze tkliwemi,
I przyjmij nieszczęście; On zawsze łaskawy,
On zsyła cierpienia swym dzieciom na ziemi;
Serca ich doświadcza smutnemi obawy.

* * *

Patrz! oto cud Jego, i my ci żyjemy!
Oto nasz wybawca!— Tu widzi Anioła,
Anioła człowieka, i milczy, jak niemy,
I słowa z bojaźni przemowić nie zdoła.

* * *

Kapłan był w tej wiosce, wzór Boga na ziemi,
On, prawie już martwe, do siebie brał skrycie,
A Bóg mu pomagał, że środki zbawczemi,
Ocalił sieroty, powrocił im życie.—

* * *

I Ojciec wyzdrowiał, modlił się, pracował,
I szczęście zwiedziło ubogą ich strzechę:
Cnotliwe dziateczki, i Matkę Bóg chował,
I w ciężkiej niedoli zsyłał im pociechę.

DZIEŃ ZADUSZNY.

Legienda.

Kąpał wioskę mglisty dzionek;
Ale potym jasność błysła;
I zajęczał wiejski dzwonek;
I wieżyczka z mgły wytrysła.

* * *

Nie słychać odgłosów pracy:
W schludnym odzieniu osada.
W kościołek idą wieśniacy:
Smutne twarze! milczy rada!—

* * *

A w kościołku trumna stała:
Światło miga naokoło;
I klęczy Helenka mała,
Skromność ozdobi jej czoło.—

* * *

Jak z nieba spłynął Aniołek,
I rączyny ma złożone;
A pełen ludu kościołek,
W tę, gdzie ona, patrzy stronę.

* * *

Matkę straciła nieboga,
Matkę jedyną, kochaną:
Za nię modli się do Boga,
Łezki w oczach nie ustaną.

I zawoła: Mamo droga!
Już ty rok nie przy Helusi.
By cię widzić, błagam Boga;
Ach! tam ci lepiej być musi.

* * *

To weź i mnie, luba Mamo,
Do siostruni, i do brata:
O jak dawno jestem samą!
Nic mi nieżal tego świata!

* * *

Bo kiedyś ty ze mną była,
Toś mnie tuliła do siebie!
I mawiałaś: Córko miła,
Dobry Ojciec mieszka w niebie!—

* * *

Już mnie opuszczają siły!
I wkrótce mnie wezwiesz może!—
I tam poszła — do mogiły!—
Daj ją widzić, dobry Boże!—

* * *

Dziś (jak mowią) z nieba schodzą,
Dla pociechy biednych dziatek,
Dusze Ojców, dusze Matek,
Pieszczotami łzy im słodzą.—

Ach! Mamo, odwiedź Helenkę,
Odwiedź, Mamo, nocną dobą;
Ona cię ujmie za rękę,
I do nieba pójdzie z tobą.

* * *

Weź mnie, błagam, luba Mamo!
Do siostruni, i do brata:
O jak dawno jestem samą!
Nic mi nieżal tego świata!—

* * *

Kościołka otwarta brama,
Lud z Kapłanem na mogiły;
Ona płacze, klęcząc sama,
Słowa łezki przytłumiły.

* * *

I siedzi w chatce wieczorkiem,
Smutnych myśli pełna główka,
I dzień zamknęła paciorkiem,
Potym bieży, gdzie alkówka.

* * *

Wnet utulił sen Aniołka,
Niewinny, jak w wiosny porze:
Ona widzi światła zorze;
Mama idzie od kościołka.

Już w objęciach jest Helenki,
Płaczą obie, milczą obie,
I trzyma się Mamy ręki;
I z radością myśli sobie:

* * *

Opuszczę już tę krainę,
Dobra Mamo, razem z tobą:
Na obłoczku tam popłynę,
Nie będzie mi śmierć żałobą;

* * *

Ale pociechą radosną,
U siostrzyczki i u brata:
Niech tu innym kwiatki rosną,
A mnie nieżal tego świata.—

* * *

Mama ściska, łzą oblewa,
Ona tuli się do Mamy,
I mówi: Jak smutno samej!
Odkąd mi Mama nie śpiewa!

* * *

Nikt się do mnie nie przymili,
Nikt uśmiechem nie pocieszy,
Krok Helenki, w każdej chwili,
Nawet słówko jedno grzeszy.

Choćby dano i świat cały,
Ale bez Mamy Helence;
To ja wolę kącik mały,
Przy Mamie, w jednej sukience.

* * *

Luba Mamo, zabaw jeszcze,
Jeźli tu mam cierpić sama;
Niechaj się z tobą napieszczę,
Bo ty zawsze dobra Mama!

* * *

Ucichły prośby maleńkiej!—
A gdy strzelił z mgły kościołek,
Nie ma i ciałka Helenki;
Ktoś nasypał świeży dołek!—

* * *

A w ziemi, co na jej grobie,
Jak pierwiosnek, miły wiośnie,
Każdą porą, w każdej dobie,
Jeszcze śliczny kwiatek rośnie.

SUMIENIE.

Ballada ułożona z powieści Ludu.

Cicho płynie strumień życia,
Kiedy w sercu mieszka cnota,
Do snu śmierci od powicia,
Burza niem uczuć nie miota.

Czyste serce rozpacz mija:
Tak spokojnie Klara żyła,
Póki mściwa srogość Stryja,
Jej umysłu nie zmieniła.

* * *

Uprzejma, skromna, jej lice
Kwitnęło blaskiem szkarłatu,
Wcześnie straciła Rodzice,
Sierotę oddano bratu.

* * *

Sierotę bratu oddano;
Bo ktoż krwią bliższy od brata?
Gdy stracisz pomoc kochaną;
I opuszczonyś od świata.

* * *

Od świata na krótko tylko:
Bóg Opiekun mieszka w niebie;
To życie wszakże jest chwilką;
A tam Bóg czeka na ciebie.

* * *

Klara niewinna, łagodna,
Była dziedziczką bogatą;
Ale jej dusza pogodna,
Obojętnie patrzy na to.

Dla niej skarby ziemskie niczem;
Tylko cnota, w przyszłość wiara,
Panują w sercu dziewiczem:
Jnnych uczuć nie zna Klara.

* * *

Lecz uśmiech tego Anioła,
A z nim dobroć Klary znana,
Choć wszystkich poruszyć zdoła,
Mdleje na sercu jej pana.

* * *

Chciwy na złoto brat Ojca,
Dręczy, więzi nieszczęśliwą,
Sroższy jak otwarty zbójca,
Czycha na zbrodni swej żniwo.

* * *

Biedna sierota po ileż razy,
W mury klasztorne iść sobie życzy!
Lecz serce Stryja twardsze niż głazy,
Z śmiercią jej tylko pragnie zdobyczy.

* * *

Wysłucha wieczny Ojciec stroskanych,
Wysłucha głosu Anioła;
Po tylu mękach stale wytrwanych,
Do siebie Klarę powoła.

Tam w szczęśliwości krainie,
Gdzie Ojciec, Matka, rodzina,
Gdzie cnotę wieniec nie minie,
Tam jej pociecha jedyna.

* * *

Zgasła dziewica, jak zorza,
Co wejdzie na niebie wcześnie,
Gdy chmury wstaną od morza,
Zgasła, jak miły cień we śnie.

* * *

Chciwy na złoto brat Ojca,
Co udręczał nieszczęśliwą,
Srogi sieroty zabojca!
Już posiadł zbrodni swej żniwo.

* * *

Lecz groźny sędzia człowieka, —
Iskra wieczności, — sumienie,
Ciosów swych długo niezwleka,
Choć zbrodniarz skryje się w cienie.

* * *

I w dnia jasności, i w nocy,
Staje mu w oczach sierota:
On woła: ratuj! pomocy! —
W łożu nim bezsenność miota.

Chodzi bezsilny, wybladły,
Jak trup żyjący, jak mara,
Suche mu oczy zapadły,
I często krzyczy: precz Klara!

* * *

Zda mu się wreście, że dłużny Niebu;
Że się duchownych poradzić trzeba,
Urządza marną świetność pogrzebu;
Lecz dary zbrodni odrzucą Nieba:

* * *

Ślub występnego, jak dym Kaima,
Mimo zbrodniarza dzikich zaślepień,
Będzie się błąkał, i z ohydą wstrzyma,
Zdala od niebieskich sklepień.

* * *

Pogrzebny orszak nad grobem staje,
Gdzie pochowano dziewicę;
A Stryj występny jawnie wyznaje,
Swem obłąkaniem straszną tajemnicę. —

* * *

I kiedy Kapłan krople świętej rosy
Na wiernych zlewa, ci krzyż święty czynią,
Czarne tumany zaćmiły niebiosy,
Wichry zawyły, jakby nad pustynią.

Opiekun woła: ratujcie! to ona!
Ratujcie! Klara! lecz nie widać cienia:
Pada na ziemię, i w męczarniach kona,
Słychać przewlekłe odgłosy jęczenia.

* * *

W krótce to widmo trupie ostatni raz wrzasło,
I piorun odzież ze złoczyńcą spalił:
Ciemność! jakby na zawsze światło dnia zagasło;
Lud się pobożny ze zgrozą oddalił.

AMEN KAMIENI.

Legienda Kozegartena.

Choć z wiekiem ociemniał, lecz pełen czerstwości,
Głosił Beda nowe, radosne poselstwo,
Od miasta do miasta, od włości do włości,
Szedł Starzec pobożny, z chłopczyną szedł małym,
I słowo kazywał z młodzieńca zapałem.
Raz go tam umyślnie prowadzi chłopczyna,
Gdzie głazem przy głazie posiana dolina,
I rzecze mu, płochy więcej jak złośliwy:
Ach! Ojcze szanowny, rozległe te niwy,
Ludem są zajęte, powiedzcie kazanie.

Starzec się podnosi, wybiera tekst święty,
Objaśnia, stosuje, nie szczędzi zachęty,
I grozi, i karci, i radzi, i cieszy,
A wszystko tak z serca, aż łza po łzy śpieszy,
Łagodnie spływając na brodę mu białą.
A gdy już ukończył, gdy jako przystało,
Odmówił *Ojcze nasz*, i dodał te słowa:
„Twojem jest Królestwo, Twoja moc i chwała,
„Od wieku do wieku!" wokrzyk niewymowny,
Amen tysiącem głosów dolina zabrzmiała,
Amen! Amen, Ojcze szanowny! —
Drży chłopiec, ze skruchą do kolan mu pada:
Mężowi świętemu z grzechu się spowiada.
„O synu! rzekł Starzec, nie jestże pisano?
„Gdy ludzie zamilkną, kamienie powstaną!
„Nie szydź więc, mój synu, ze słowa Bożego,
„Bo śmiała, bo dzielna, bo wielka moc Jego,
„Ani miecz dwusieczny tak silnie rozdziela,
„Jak święte, jak Boskie słowa Zbawiciela;
„I chociaż zaciętość zakuje pierś ludzi,
„W kamieniu na głos ich serce się obudzi.

DZIECI OCALONE.

Legienda z Niemieckiego.

Samotne gdzie lasy, wiszącą pod skałą,
Cnotliwy osadnik miał cichą zagrodę,

Tam dwoje w poranku dziateczek igrało,
Na darni kobiercu rozległym daleko,
Ich oczki niewinne, z rozkoszną powieką,
Anielską wróżyły lubości swobodę,
I pokój umajał różyczki ich liców,
I z gadłeś z nich szczęście, pociechę Rodziców.
Ich Ojciec za zwierzem, opodal od Matki;
A ona, jak zwykle, przy pracy i w domu:
A serca nie ściśnie uczucie pogromu,
Co właśnie w tej chwili przeraził jej dziatki.
Bo nagle, jak orzeł z powietrznej krainy,
Rzuca się na zdobycz, i w paja w nię szpony,
Lew dziki wypada na biedne dzieciny,
I nie ma pomocy, i nie ma obrony!
A Matka krzyk słyszy, brzęknęła zapora,
I ledwie nie padła bez życia, i leci,
Ocalić od śmierci widocznej swe dzieci.
Bo widzi nieszczęsna, że na nie od góry,
Z otwartą paszczęką sroży się potwora:
Już w ziemię wpoiła zabójcze pazury,
I napad gotuje bezbronnej zdobyczy,
Krwi chciwa wzrok iskrzy! straszliwie zaryczy!
Wtym nagle grom błysnął,— i piorun uderza!
I ziemia od grzmotu w posadach zadrżała,
I echo grzmi długo;— i oto na zwierza,
Z wierzchołka samego zapada się skała,
I gruzów moc wielka potworę przywala.
Tak Niebo cudownie dzieciny ocala.

Bo wszędzie moc jego nietylko wysoko,
I ręka Wszechmocy udzieli pomocy,
Tam nawet, gdzie ludzkie nie widzi jej oko.
Miej ufność, a modły wzniosą się do Boga:
Przygoda ominie, i wszelka obawa,
I tak cię osłoni Opieka łaskawa,
Że w radość śmiertelna przemieni się trwoga.

JAŁMUŻNA DZIECIĘCIA.

POWIEŚĆ.

(Zdarzenie prawdziwe.)

Stanął kaleka na Nowym Swiecie,
Oparł się o mur z niemocy,
Wzywa przechodniów pomocy,
Niejeden pieszo, konno, w karecie,
Minął z pośpiechem nędzarza,
Slyszeli prośbę, zamożni, bogaci,
Każdy go widzi, nikt nie obdarza.
Wtym ośmioletni chłopczyna,
Aniołek z twarzy, z postaci,
Przybliża się nieśmiało,
I tak mówić zaczyna:
Chociaż mi Niebo nie dało,
Jak wiele tobie potrzeba,

Jednak mogę ci dać tyle,
Abyś sobie kupił chleba.
Poczekaj,— przyjdę za chwilę!—
Co powiedział, nie zwleka,
I odszedł do kamienicy,
Na tej samej ulicy,
I znów powraca, gdzie stoi kaleka,
I mówi dziecię wspaniałe:
„Oto masz dwa złote całe.
„Mama co tydzień piętnaście groszy
„Zwykła mi dawać, na bułki, zabawy,
„Teraz się zrzekłem dziecinnej rozkoszy,
„Całuję ręce i proszę:
„Najdroższa, najlepsza Mamo!
„Daj mi za cały miesiąc to samo:
„I nieżądając ode mnie sprawy,
„Dała ten pieniądz, który ci przynoszę;
„Nic dotąd nie dostałeś, stoisz tu daremnie,
„Dobry człowieku, przyjmij to ode mnie."
Kaleka przyjął ze łzami jałmużnę,
I rzekł: o tkliwe, kochane, dziecię,
Błogosławieństwo ci dłużne
Serce moje rozrzewnione:
Cnotą już kwitniesz na świecie,
Cnota niebieską wije ci koronę! —
I podniósł rękę, by mu błogosławił;
Ale chłopczyna do łez poruszony,

Aby od kogo nie był zoczony,
Tkliwie uścisnął kaleki rękę,
I nieczekając na jego podziękę,
Zadumiałego zostawił.

KWIATEK NA GROBIE DZIECIĘCIA.

Elegia naśladowana z niemieckiej, którą napisał Tiedge.

Niech twoje ciałko błogo spoczywa,
Niech letni wietrzyk doliny mile,
W tej nieprzerwanej ciszy powiewa,
Gdzie śpisz, Aniołku, w małej mogile.

* * *

A gdy zieloność zawita z wiosną,
Niechaj z twojego grobu się wznosi
Młody skowronek, i pieśń radosną,
Pieśń zmartwychstania dla ciebie głosi.

* * *

Miłość Rodziców róży kwiat biały
W puściła do twej cichej ustroni:
Jakby w pieszczotach, Aniołku mały,
Ukołysany, śpij w jego woni.—

Szczęścia na ziemi nietrwałe mienie,
Tyś pośpieszyła, niebianko młoda,
W bezpieczne, ciche, błogie schronienie,
Gdzie jest szczęśliwych istot swoboda.

* * *

Twoja duszyczka już tam przebywa,
Cieszy się dobrych duchów krainą;
Już ty nie cierpisz, jużeś szczęśliwa!
Nie będziesz więcej płakać dziecino!—

NAGROBEK.

Tu maleńkich Braciszków, trzech Aniołków groby!
Przyczyna łez Rodziców, i wiecznej żałoby:
Bóg wziął ich z pieszczot Ojca, i uścisnień Matki;
Bo tylko w Niebie miejsce mają dobre dziatki.

TREN

Do Córki mojej, kiedy rok miała.

Luba moja pociecho, wdzięczne słówko twoje,
Kiedy wymawiasz Tata, przyrównać się boję,

Takiem czuciem ten odgłos serce mi przenika:
Nazwęli je kwileniem wdzięcznego słowika?
On nie nuci tak mile, jak się ty odzywasz,
Gdy mi czasem dumanie samotne przerywasz:
On nie nuci tak mile; ach przemów raz jeszcze,
Przemów Tata, niechaj się tym głosem napieszcze.
Może w tej właśnie dobie, gdy mnie bawisz mile,
Zmieni jakie nieszczęście te swobodne chwile,
Może!.. po cóż domysły? ty mnie kochasz, dziecię,
Wy mi z Matką gorycze, wy smutki słodzicie.
Ale ja ci zazdroszczę twego wieku pory!
Wiek starszy łudzą tylko dni szczęścia pozory,
Co niknią jak obłoczek przed połyskiem słońca;
Twoje szczęście, dziecino, zda się nie mieć końca.
Ty się bawisz, ty śmiejesz, ty przeigrasz mile,
Niejednę dla Rodziców smutku i łez chwilę;
Dla ciebie kwitną róże, gdzie zwrócisz oczęta,
O tobie luba Mama i Tatko pamięta.
Ach! kiedy na to wspomnę, szczęśliwa dziecino!
Że i dla ciebie w krótce dni wiosny upłyną,
Tracę myśli mej wątek, serce boleść ściska,
Nawet memu uczuciu dać nie śmiem nazwiska
Takie Niebios wyroki!... wiek dziecinny rzucisz,
Raz się będziesz weselić, sto razy przesmucisz.
Ale póki świat jeszcze jest niczem dla ciebie,
Błagaj, błagaj, Aniołku, Władnącego w niebie,

Który niewinnej prośby z tkliwością wysłucha,
Niechaj na wszelkie burze wzmocni twego ducha;
Niech go świętą bojaźnią, i cnotą zasili,
A tak ci drogę życia będzie przebyć milej.
Lecz ty mówić nie umiesz, o dziecino droga,
A więc niewinne serce wznieś do twego Boga,
Westchnij! Aniołkiem jesteś, Aniołka westchnienie,
Wszak z łatwością przenika niebieskie sklepienie.

DO NIEMOWLĘCIA NOWO NARODZONEGO.

O drogie dziecię! jużeś się nareście
Z pełnem tajemnic rozstało mieszkaniem,
Cieszysz się światem, i masz go za szczęście,
Choć głos twój pierwszy bolesnem witaniem.

* * *

Młody wędrowcze, nie raduj się wcześnie,
Więcej stałości, mniej uniesień życzę,
Chwile uciechy upłyną, jak we śnie,
Poznasz ty życie i życia gorycze.

* * *

Niejeden równie swą radość wydawał;
Lecz z innem czuciem z tego świata schodził,
Rad jeszcze, jeźli przeciwności nawał
Błogą pamiątką życie jego słodził.

Mylne układy, nadzieje przebywszy,
Z których mu żadne nie zostały plony,
Rzekłby podobno: byłbym najszczęśliwszy,
Gdyby na wstępie zwrot był dozwolony.

* * *

Bo z czegoż radość dla cnotliwej duszy,
Na tej tu ziemi płaczu i boleści?
Gdzie jęk sieroty rzadko litość wzruszy,
A chytrość nawet i we łzach się mieści;

* * *

Gdzie prawość serca urojeniem zwana;
Gdzie podłe dusze zbrodni biją czołem;
Gdzie sprawiedliwość wzgardzona, wyśmiana;
Gdzie nawet szatan pragnie być Aniołem!

* * *

Lecz tryjumf zbrodni jako dym znikomy,
Kiedy gmin ślepy myśli z wzgardą cnoty:
Oto na różach pieści ją sen złoty!
Już w nię okropne uderzają gromy.

* * *

Pod stopą zawsze grozi przepaść czarna:
Ściska powieki, ale sen je mija,
W sercu się krzewią ciężkich zgryzot ziarna,
A ich zarody syci jadem żmija.

Dziécię niewinne! ciesz się twym udziałem,
Wieczna Opieka już czuwa nad tobą,
Jeźli jej sercem powierzysz się całem,
Nie będziesz nigdy rodziny żałobą.

* * *

Niech Bóg i cnota władnie twoją duszą;
A gdy polubisz raz ten zakon święty,
I złych namowy nigdy cię nie wzruszą,
I łatwo miniesz występku pokęty.

* * *

Bóg drogę życia naznaczył cierniami,
Rzadko przyjemność obok nich się mieści,
A kogo rozkosz chwilowa nie zmami;
Kto nie rozpacza, gdy przejmą boleści;

* * *

Tego nagroda czeka w przyszłem życiu,
Szczęście bez granic, i radość bez końca:
Nie kwil więc, dziécię, lecz ciesz się w powicia....
Śmiało, wędrowcze! jest cnoty Obrońca!...

DO DZIECIĘCIA.

Płynie ci piąta wiosna, kwitnie piąty roczek,
Świat ci jeszcze zasłania gazowy obłoczek:
Obyś tak przemarzyło, ukochane dziécię,
Wpośród lubych omamień całe twoje życie.

PSALM XX. DAWIDA.

Książęta ziemi! boscy synowie!
Zabrzmijcie chwałę i cześć Jehowie!
Zabrzmijcie chwałę Władnącemu światem;
Jego jest wielkość z świętym majestatem.

Głos jego przeniósł wilgotne chmury,
Zagrzmiał przedwieczny Twórca natury.
Głosu Pańskiego wszechwładna potęga,
Wszystko ogarnia, i wszędzie dosięga:

Głos jego łamie cedry Libanu,
A gdy się Niebios tak zdaje Panu,
Zadrżą z Libanem Saryjonu skały,
Jak sarna albo jednorożec mały.

Głos jego spuszcza płomienie z góry,
Głos jego wstrząsa kadyjskie bory;
Na głos ten straszny drży sarna struchlała,
Padają lasy; niech mu będzie chwała!

Pan włada burzą, zasila rzeki,
Pan jest i będzie po wszystkie wieki:
A kto go chwali, i kto go się boi,
Tego wsród szczęścia potęgą uzbroi.

OSIEROCONE DZIECI DO BOGA.

O wielki Boże! oto biedne dziatki,
Stajemy dzisiaj przed Tobą,
Błagać za Ojca, bośmy bez Matki,
Okryte wieczną żałobą.

* * *

On jednem sercem tchnie z sierotami,
On czuciem Matki gorącem;
Onby i życiem podzielił się z nami,
W nim mamy Ojca, obrońcę.

* * *

Zachowaj, Boże, drogie jego doby,
Przedłużaj drogie dni jego,
Broń od cierpienia, smutku i choroby,
Broń od nieszczęścia wszelkiego.

* * *

Daj nam rozumu i cnoty zadatki,
Wspieraj dziecinną ułomność,
Daj nam anielską dobroć naszej Matki,
Rozsądek, stałość, i skromność.

* * *

Niech z czystem sercem uwielbiamy Ciebie;
Niech światło nauk duszę oświeci:
Pomagaj, Ojcze Niebieski, w potrzebie;
Oddalaj smutne przygody od dzieci!

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA SŁOWNA

Udzielaj łaski w tym ziemskim pobycie;
Uchroń od serca skażenia,
A gdy się skończy to śmiertelne życie,
Przyjmij do krain zbawienia!—

DO BOGA
O ZDROWIE.

O Boże! Dawco życia, Twórco przyrodzenia,
Co dotąd zachowujesz i świat i stworzenia,
Co dni nasze zliczyłeś, my dzisiaj w potrzebie,
O zdrowie, dar największy błagać śmiemy Ciebie.
Dałeś nam rzeczy ziemskich radosną obfitość;
Okaż nad dziećmi twemi i łaskę i litość;
Daj nam ciągle używać przy zdrowiu twych darów,
Daj siłę i moc duszy do prawych zamiarów;
Abyśmy Ciebie, dobry, wiekuisty Panie,
Mogli kochać, uwielbiać, chwalić nieprzerwanie,
Z ciałem wolnem od chorób, i spokojną duszą,
Której żadne cierpienia słabości nie wzruszą.
A jeźli ześlesz niemoc, wesprzyj nieudolność,
I zostaw rozumowi, o Boże, tę wolność,

Aby przemógł cierpienia, i przez własne męztwo,
Nad nieszczęściem i losem odnosił zwycięztwo.
Nakoniec, jeźli srogie pociski choroby,
Z twej woli mają przeciąć krótkie życia doby,
Ojcze ludzi, zlituj się nad twoją sierotą,
Odziej ją godną szatą, godną Niebios cnotą,
Niech łagodnie opuści duch mój więży ciała;
I tam się mile wzniesie, gdzie jest wieczna chwała,
Gdzie Ty z gronem wybranych, ojcowskiej opieki,
Panujesz tyle wieków, i będziesz przez wieki.

DO MAŁEJ JÓZI.

Dobra Józiu, Mama, Tata,
Cieszą się w tej chwili;
Że twych jeszcze tego lata
Jmienin dożyli.

* * *

Jesteś sobie pulchna, żywa,
I świeża, jak róża;
Rośnij, dziecino szczęśliwa!
Taka wola Boża.

Przyjdą w krótce inne latka,
I nam lat przybędzie,
Cieszy się Mama i Tatka,
Józia dobrą będzie.

* * *

Józia mała, a nie płocha,
Józia nieswawolna;
Bozię swego bardzo kocha,
I dla nich powolna.

* * *

Tak rób, Dziecię, w każdej chwili,
A Bóg wesprze ciebie;
Napróżno się człowiek sili,
Bez opieki w Niebie.

O MAŁEJ ANDZI.

Anusia mała
Podskoczyć chciała,
Mama nie dała.
Anusia skacze
Sobie do woli,
A potym płacze;
Bo nóżka boli.
Ból ustał przecie,

Smicje się dziecię,
I tak się zdało,
Że zapomniało.
Wtym słychać słowa:
Podskocz, Anulu,
Już nie ma bólu,
I nóżka zdrowa.
My Mamę znamy,
Mama przebaczy;
Lecz Andzia mała
Tak się ozwała:
Ból mało znaczy,
Żal mi łez Mamy!

MIŁOŚĆ NIEPRZYJACIÓŁ.

z Niemieckiego

POWIEŚĆ.

Mieszkaniec Ameryki, co nie znał przyjaźni,
Pod jaką w Europie ukrywa się zdrada,
Miał serce szczere i wolne od kaźni,
Gdzie cnota miłe siedlisko zakłada,

Jakie wyszło z rąk Stwórcy, przyniosł do sprzedania,
Razu jednego owoc polowania,
Z lasów Kwebeku w zwierzynę obfitych:
A kiedy ów zapas cały,
Ptaków na skałach z łuku zabitych,
Sprzedał za małą cenę, jaką mu podano,
Bo nie znał próżnych zaleceń wymowy,
Z lichą sumką uzbieraną,
Wracał do swoich w ukryte parowy.
Jeszcze był od nich zdaleka,
A już się niebo zachmurza;
I par dojmuje, i spieka,
I nagle powstała burza.
Zimnem przejęty, schronienia szuka,
Zoczył dom przecie, i we drzwi puka.
Było to osadnika wygodne mieszkanie:
Ach! litości! dobry panie!
Póki burza nie ustanie,
Daj schronienie w domu twojem,
Wynędzniałemu i głodem i znojem;
Już mi od zimna strętwiały kości,
Ach! panie! błagam litości!—
Precz mi stąd, czarna potworo,
Krzyknie osadnik, i grozi mu kijem,
Złodzieje tylko chodzą nocną porą,
Już i tak ledwie przed wami tu żyjem.

Poczciwy Huron nie pukał dłużej,
Próg niegościnny porzucił,
Długo szedł jeszcze, nim, z smutnej podróży,
Do chatki cichej powrócił.
Przemokły, drżący, przy ogniu siada,
Z rąk żony bierze odzienie suche,
I nagim dziatkom wiernie opowiada,
Jak białych serce dla biednych głuche;
Jak oni wojny srogie prowadzą,
Jak braci własnych dla zysku zdradzą.
A małe dziatki z trwogą to słyszą,
U kolan jego, u szyi wiszą,
Potym drobnemi rączkami,
Włos jego czarny głaskają,
Strumienie deszczu kroplami,
Za każdym razem spływają;
Potym, co które z nich sobie życzy,
W kieszeni jego szuka, i znajdzie w zdobyczy.
W krótce osadnik, w czasie polowania,
Zabłąkał się na piękne, w zarosłej pustyni,
Strach go od skały do skały przegania,
Z wąwozu na dolinę; lecz usiłowania
Wszystkie nadaremnie czyni,
Nigdzie i śladu nie widzi drożyny,
Którąby wyszedł z okropnej gęstwiny;
I z nowu przez gałęzie, znowu przez kamienie,
I doliny i strumienie.

Na prożno śledzi, na próżno woła,
Tylko z nim echo, drażniąc się do koła,
Od skał odbite po czarnym lesie,
Napowrot wiernie słowa jego niesie,
Mało już w sobie czując sił i mocy,
Z bojaźnią prawie, o samej północy,
Przywlokł się w miejsce, skąd światła ostatki
Błysną kiedy niekiedy z oddalonej chatki.
Radość i czucie trwogi serce mu wzruszało,
Zbliża się do niej, i puka nieśmiało.
Ktoż tam jest? groźny odgłos odbijają ściany,
Kto mój spoczynek przerywa w tej porze?
Zawołał dziki, i stanął na dworze.
Ach! ja to jestem, w puszczy zabłąkany,
Rzecze osadnik przymilenia słowy;
Straciłem w boru ślad, przyjacielu,
I tum się dostał po trudach wielu.
Pozwól kącika dla schronienia głowy;
A jutro, jeźli pokażesz mi drogę,
Którą do miasta przebrać się mogę,
Oprócz uścisku szanownej ręki,
Jeszcze ci złożę najtkliwsze dzięki.
Wejdź (mówił dziki), co mogę uczynię,
Ogrzej się, oto jeszcze ogień na kominie!
Potym na niego rzuca surowe spojrzenie,
Które zwiększają czarnej izby cienie;
I stawia mu posiłek z wieczerzy zostały,
Rybę wędzoną, część szynki niedzwiedziej:

Smacznie zajada gość mocno zgłodniały,
Jakby na uczcie pańskiej, dziki przy nim siedzi,
I w twarz jego zatapia swoje śledcze oko,
I czasem się odwraca, zamyśla głęboko;
Ale gościnnych posług nie odmowi,
I w muszlę miód nalewa białemu strzelcowi,
I na co puszczy mieszkańca stanie,
Mech i skórę niedzwiedzią daje na posłanie,
Gdzie spał wygodnie, jak w miękiej pościeli.
Aż i późnego słońca blask na niego strzeli.
Dłużej gospodarz czekać nie może:
Z kołczanem na ramieniu,
W łuk i strzały zbrojny,
Dziką strefy naturę mający w spojrzeniu,
Groźny, jakby niosł w piersiach ogień bliskiej wojny,
Staje przed gościem, i na niego woła.
Budzi się biały, i zaledwie zdoła
Ująć broń swoję: a dziki znów czarę
Płynu słodkiego podaje z uśmiechem,
Skinieniem wzywa, że przyjął ofiarę;—
I w boru czarnym prowadzi z pośpiechem,
Przez gałęzie i kamienie,
I doliny i strumienie,
I na gościniec wiodący do miasta.
A gdy osadnik słówkami szasta,
Jakie mu grzeczność wyciska fałszywa,
Wlepia w niego mąż dziki oblicze ponure,

I tak się odzywa:
Czy nie widziałeś nigdy, mnie, Hurona?
Jak piorun, czarną rozdzierając chmurę,
Ziemię wstrzęsie, tak dusza białego wzruszona:
Stał oniemiały od słów pogromu,
I w dzikim, od którego ślachetności doznał,
Człowieka poznał,
Któremu w burzy nie dał spocząć w domu.
Więc zabełkotał, miała być wymówka;
Lecz Huron przerwał: Porzuć piękne słówka,
Bywaj zdrów, tylko pokazać chciałem,
Że wy mędrcy z Europy kłamiecie z zapałem;
A my, których o dzikość podoba się winić,
I czuć umiemy, i lepiej czynić!
Ledwie to skończył, wzrok litości rzucił,
I do swych lasów powrócił.

JOB I JAEL.

Powieść z Pfefla.

Powódź okropna biednej Jaeli,
Zburzyła domek, uniosła zboże,
I któż z nią teraz chleb swój podzieli?
Kto ją w niedoli z dziećmi wspomoże?
Ona po kłosie, na możnych niwie,
Zbierała sobie w żniwa skwapliwie:

Ach! nikt nad Matkę więcej nie czuje,
Jaki dla sierot ból ją przejmuje.
Patrzcie, jak łamie ręce ze drżeniem,
Jak puste pola brzmią jej jęczeniem.
Doszły te skargi Joba tkliwego,
I już go nędza swoja nie boli,
Pełza się z cicha z namiotu swego,
I myśli tylko o jej niedoli.
A gdy zrozumiał, czemu łzy leje,
Nad jej cierpieniem cały truchleje,
Powitał biedną, i tak jej rzecze:
Chcę za pszenicę dać żyta komu?
A Wdowa mówi: Dobry człowiecze!
Mam na dwa chleby z ledwością w domu,
„I to przyjmuję, a w dobrej wierze,
„Dwie za to ćwiercie żyta namierzę."
Tak do Jaeli nędzarz się odzywa;
Ale to jedno przed nią ukrywa,
Że nie ma w domu, czemby głód oddalał.
W tedy z jej oczu łzy się puściły,
Potok ich rzewny lice jej zalał,
A te łzy więcej od słów mówiły.
Wdzięczność nakoniec rozwiąże słowa,
Łkając tak mówi pocieszona Wdowa:
„Niech ci Bóg płaci, mężu wspaniały!
„Wszystkim nam życie twoje ręce dały;
„Dar twój jest wielki dla sierot Jaela;
„Lecz większe serce, które go udziela."

Tak ona mówi, ręce podnosi,
I tkliwie Niebo za dawcą prosi,
Aby mu swojej schyliło pomocy:
Doszła jej prośba do tronu Wszechmocy;
Czyn miłosierdzia Bogu się podoba,
Spojrzał i rzekł: „Skończone doświadczenie Joba"

MŁODY KSIĄŻE.

POWIEŚĆ

z Niemieckiego.

Raz młody książe od Wuja lubiony,
Dostał czerwieńców ze dwieście,
Mieć pieniążki co za szczęście!
A jeszcze żółte, śliczne dublony!
Widok tej sumki pieści jego oczy.
Potym ładne dukaciki,
Jeden po drugim do woreczka tłoczy,
I na dwa zamknie kluczyki.
W krótce Wuj dobry odwiedza chłopczyka,
A pierwsze jego pytanie:
Jak też mojego daru użyłeś, kochanie!
Chłopczyk z radością kuferek odmyka,
W nadziei, że Wuj znowu pomnoży skarb jego,
I rzecze: ot dwa zamki moich więźniów strzegą!
Nie brak mi ani jednego,

Ani grosza, Wuju drogi!
Ale co widzi? Wuj zachmurzył czoło,
Zamiast na niego patrzyć wesoło,
I tem go nabawia trwogi:
I bierze śliczne złotko, i za okno ciska.
A wnet pospólstwo, jakby wylegle z mrowiska,
Zbiega się, jeden przez drugiego chwyta,
Już po skarbie, i kwita.
Królewicz stoi z dumiony,
I łzy po licach spływały.
A Wuj tak mówił: Na to milijony
Nieba książętom i możnym dały,
Aby ich używali na wsparcie ludzkości:
A kto rozkoszy w nich marnej szuka,
Temu w pogardzie nauka,
Bo nie jest godzien litości.

DYJOGENES.

POWIEŚĆ

naśladowana z Pfefla.

Dyjogenes, dziwak znany,
Zapaliwszy swoję świécę,
Raz przechodził na przemiany,
Wszystkie w Atenach ulice.

Na jednej mieszkał bogaty,
O biednych mawiał z zapałem:
Żal mi chwil drogich utraty,
Że go jeszcze nie poznałem;
Ale pójdę (rzekł) do niego,
Jeżeli trafi w myśl [illegible]szę,
W nim uznam człowieka mego,
I światło moje zagaszę.
Idzie, prosi wspomożenia:
Ty, coś tkliwy na cierpienia,
Drachmę jednę udziel, panie;
Pracować nie jestem w stanie!
A bogacz na to: Nie mogę;
Niechaj cię wspomoże Jowisz;
A jak ci kto zajdzie drogę,
Żem nad tobą płakał powiesz.
Odszedł, a Dyjogen rzecze:
O ty nikczemny człowiecze!
Skoro w tem twoje rozkosze,
Wszędzie twą podłość rozgłoszę.
Gdy tak duma i rozprawia,
Inny mu się widok zjawia;
Widzi, jak mody poddani,
Na pewne się miejsce garną;
I rzecze do jednej pani,
Od stóp do głów strojnej czarno:
Od tych pomad, od wachlarzy,
Co się damie odjąć zdarzy,

Udziel głodnemu starcowi,
A odpłacą dobre Nieba!
Wnet elegantka odpowié:
Prawdziwie, jesteś w potrzebie,
Litość bierze, widząc ciebie,
Głodnyś! to sobie kup chleba.
To rzekła i za towary
Sypnęła złota bez miary.
Mędrzec ramionami wzrusza,
Mówiąc: O jak tkliwa dusza!
Ale skądże łoskot głuchy?
Skąd te tłumy i rozruchy?
Oto bogacz Salaminy
Jedzie śród świetnej drużyny;
Dyjogenes tam pośpiesza,
I na złoty wóz się wiesza:
„Stój! synu bogów dorodny!
„Wsparcia żebrze starzec głodny! —
Precz! zmykaj z drogi, ladaco,
(Taki mu się głos odzywa),
Za tę śmiałość kijmi płacą,
I już się doń ciżba zrywa.
Niewolnik, co stał z daleka,
Z zapałem starca dopada,
Szybko go na bok odwleka,
I do czapki pieniądz wkłada.
O bogowie! mędrzec woła,
Więc ten, który w pocie czoła,

Pracuje, zarabia marnie,
Może się reszty pozbawia,
I mnie wsparcia nie odmawia!
Ach! teraz umrę spokojnie,
Tu mu łzy płynęły hojnie,
I zaraz gasi latarnię.

KAMIEŃ z NAPISEM.

POWIEŚĆ.

Nadstaw ucha, ktoś ciekawy,
Powiem o kamieniu,
Który gdzieś koło Warszawy
W zielska leżał cieniu.

* * *

Dawne pismo było na niem,
Ziemią zawalane:
Z włości różnem posiadaniem,
Przetrwał wieków zmianę.

* * *

Często mieniał właścicieli,
Ci w lesie omamień,
Chociaż w długach, to szaleli,
Niedbając o kamień.

W końcu rumianego lica
Komornik się zjawił,
I ostatniego dziedzica,
Z kijem w świat wyprawił.

* * *

Zajął wieś kutfa bez granic,
Co sypiał na skrzyni:
Ten ma wszystko dawne za nic,
Tartas, hałas czyni.

* * *

Wszędzie szuka, lata wszędzie,
Jak kot zagorzały;
Jeźli tego dłużej będzie,
Obali dom cały.

* * *

Trafił i na kamień wreście,
Laską trąca, grzebie:
Co za radość! jakie szczęście!
Sam nie czuje siebie.

* * *

Błysnął napis na kamieniu:
„Przewróć, złożę dzięki!"—
I chwyta go w uniesieniu;
Próżno użył ręki.

Był to ranek: wszystkich budzi,
Jak szaleniec woła:
Spędził może ze sto ludzi,
Prą go w pocie czoła.

* * *

Gdy w pewnym czasu przeciągu,
Spód mu się odsłania;
Obiecał dać po szelągu,
I wszystkich odgania.

* * *

Kopie, grzebie, śród omamień,
Kopie dół olbrzyma:
Grzbietem swoim otarł kamień;
Ale skarbu nié ma:

* * *

Tylko napis drugi zoczył,
Na odwrotnej stronie;
I nagle z dołu wyskoczył,
I wstydem zapłonie.

* * *

„Dziękuję ci!" — w lot przeczytał;
I włosy rwał siłą;
I byłby zębami zgrzytał,
Ale ich nie było.

Czem na polu wiatr pomiata,
U gałęzi dużej?
To skąpiec nierad ze świata,
I z życia podróży.

* * *

Tak dręczy miłość pieniędzy,
Truciznami z piekła:
Taki schyłek podłej nędzy
Chciwość daje wściekła.

MĘDREK ZAWSTYDZONY.

POWIEŚĆ.

Wieśniakowi, co miał złota,
I sreberka nie mało,
Raz się mieć syna uczonym zachciało:
A więc póki ochota,
Zaprzągłszy dwa silne woły,
Wiezie go Ojciec do szkoły;
Lecz że tam w oknach rachował szyby,
Więc po trzech latach musiał iść na grzyby;
Jednak miny nie traci,
A udatny z postaci,
Powraca do wiejskich braci,

Wraca do domu, uczony niby,
Ojciec prosi sąsiada
Mądrego organistę,
Co ma przymioty mędrca oczywiste;
Bo wiele a ciemno gada,
I do tego po łacinie
Wtrąca niekiedy słów parę z Donata.
Wnet się Matka zawinie,
Stół im zastawia: uczta nie bogata;
Ale było, co niesie chudoba wieśniaka.
Toczyła się rozmowa i taka i saka;
A synek, coś tam kłamał, i bredził ogromnie,
Ojciec tylko kiwał głową,
A organista sadził się z wymową.
Nakoniec nasz mędrek młody
Tak zagaduje: Ojcze kochany,
Macie podobno urazę do mnie,
Żem nieuk; ale ja wam pokażę dowody,
Żem nie próżno wycierał cztery szkolne ściany.
Wszakci tu niby mamy trzy jajka;
Ale to bajka.
Ja wam wyjaśnię,
Że cztery właśnie;
Bo gdzie trzy, tam i jedno niebawem znajdzie dziecie!
A trzy i jedno, to cztery przecie.
Ojciec znowu trząsnął głową,
I rzekł: kochane dziecię,

Niech, jak mówiłeś, będzie słowo w słowo:
Ja wezmę jedno, drugie organista,
Z trzeciego dla Matki danie;
Dla ciebie, rzecz oczywista,
Jeszcze się czwarte zostanie.
Z naszej krótkiej powieści to każdy wybada;
Że czego Bóg odmówił, nauka nie nada;
I choćby siedmiu mędrców kładło ci ją w uszy,
Nie przylgnie do twojej duszy.
I to z jej także wynika osnowy;
Że naywiększy dar Nieba jest rozsądek zdrowy;
Bo prostak, co to niby krótko rzeczy widzi,
Częstokroć mędrka zawstydzi.

MENALKA I STRZELEC ESCHINES.

Sielanka Giesnera.

Młody Menalka pasł na górach trzody;
Zginęła mu owieczka, idzie szukać szkody,
A gdy się za nią w dziki bór zacieka,
Obłąkanego znajduje człowieka,
Ten nieszczęśliwy leżał na ziemi,
Władając prawie siły ostatniemi:
Młody pasterzu, mówi znaleziony,
Ja się dostałem wczoraj w te strony,

Dalekom zaszedł w bór czarny,
Ścigając dziki i sarny.
Ani tu chaty, by mieć pożywienie,
Ni źródła, gdzieby ugasić pragnienie.
Natychmiast pasterz ku niemu się schyli,
Chleba i sera z kieszeni dostaje;
I mleko z flaszką strzelcowi podaje:
„Jest (rzecze) świeże, i ciebie posili.
Potym idź za mną, ja cię stąd wywiodę."
Strzelec siły pokrzepił, idą manowcami,
W krótce stanęli, gdzie zostawił trzodę;
A strzelec temi przemówił słowami:

ESCHINES.

„Piękny pasterzu, wróciłeś mi życie,
Jakże ci za to nagrodzę sowicie?
Ach! pójdź do miasta, tam przepyszne domy,
Nie jak te chaty z gałęzi i słomy;
Tam pałace z marmuru do chmur wznoszą czoło,
A wyniosłe kolumny zdobią je w około.
Ty u mnie mieszkać, ze złota pić będziesz,
I przy wybornej uczcie obok mnie zasiędziesz;
Stół naczyń srebrnych natłok będzie zdobił.

MENALKA.

Pastuszek jestem, cóżbym w mieście robił?
Mnie niski szałas udziela mieszkania,
On mnie od wiatrów i deszczu zasłania;

A choć w około kolumny nie stoją,
To go wino i drzewa owocowe stroją;
Z czystego źródła, co w bliskości płynie,
Nabieram wody w gliniane naczynie;
I słodki napój od mych pszczółek piję;
A moją trzodą i owocem żyję.
Stół mój ni złotem, ni srebrem bogaty,
Ale go zdobią woniejące kwiaty.

ESCHINES.

Daj się namówić, pasterzu, pójdź ze mną,
Znajdziesz i u nas drzew, kwiatów tysiące,
Prosto są sztuką sadzone przyjemną,
Są i na pięknych grządkach rosnące;
Znajdziesz i źródła, których, dla ochłody,
Fauny i Nimfy całe z marmuru,
Z szumem wlewają bez ustanku wody,
W sadzawki wielkie, wykute z marmuru.

MENALKA.

Piękniejsze są bez sztuki cieniste gaiki,
W których się rozmaicie krzyżują chłodniki;
Milsze łąki, gdy mnóstwo kwiatów je pokryje!
Ja sobie także, koło mojej chatki,
Posadziłem różne kwiatki,
Mam majeranek, róże, i lilije.
A jak piękne są źródła, których wody czyste,
Ze skał pryskają, lub z pagórka płyną,

Co wprzód igrały z chłodną gęstwiną,
Wnet kręte biegną przez łąki kwieciste.
O! nie, do miasta nikt mnie nie zwabi.

ESCHINES.

Tam zobaczysz dziewczęta w odzieniu z jedwabi,
Nieopalone od słońca promieni,
Białe jak mleko, strojne w perły, w złoto;
Tam cię zachwycą, lubości pieszczotą,
Najprzyjemniejsze wdzięcznej lutni brzmienia,
Które nam słodzą i troski i znoje.

MENALKA.

O! jak piękne jest śniadej cery dziewczę moje:
Żebyś je widział, kiedy różami,
Lub wieńcem kwiatów umai czoło;
Albo jak wtedy obojgu wesoło,
Gdy tam, gdzie strużka szumi, w cieniu siędziem sami!
Ona zaśpiewa, (a jak pięknie śpiewa!),
A ja na flecie przygrywam jej pieśni;
Głos się rozlega, echo śpiewa z nami;
Albo słuchamy, jak ptaszkowie leśni,
Slicznie nam kwilą z gaju, i z każdego drzewa.
A któryż wam lutnista tak zaśpiewać zdolny,
Jak nasz słowiczek, albo konik polny?
O nie! na miasto nigdy się nie zgodzę!

ESCHINES.

Dobry pasterzu, czemże ci nagrodzę?
Przyjmij garść złota, i ten róg bogaty.

MENALKA.

Co mi po złocie, dość mi tej zagródki;
Czy niem owoce lub z łąk naszych kwiaty,
Czy mleko mojej mam okupić trzodki?

ESCHINES.

Cóż ci dać mogę, pasterzu szczęśliwy?
Czem wynagrodzę twój czyn dobrotliwy?

MENALKA.

Daj mi twój dzbanek z tykwy, który masz przy sobie.
Na nim postać Bachusa, jak widzę, zrobiona;
I miłości bożkowie, jak oni z pośpiechem
W koszyki winne układają grona.
Strzelec dał mu ów dzbanek z łagodnym uśmiechem;
A młody pasterz, nadzwyczaj ochoczy,
Jak młode jagnię z radości podskoczy.

IRYN.

Sielanka, naśladowana z niemieckiej Klajsta.

Sliczna trwała wiosny pora,
Kiedy jednego wieczora,
W łódce z synem Iryn płynie,
Zakładać więciorki w trzcinie,
Co brzegi morza zakryła,
Od wysp, jakich tam moc była.
Słońce zanurza się w tonie,
Morze, niebo ogniem płonie.
O jak piękna okolica!
Wszystko, wszystko w niej zachwyca!
Rzecze syn Iryna, który
Pojął piękności natury,
Czuciem Ojca ożywiony.
Oto i łabędź ochoczy
Z dziećmi koła fali toczy,
I kąpie się w tej przestrzeni,
Którą blask nieba rumieni,
I żagle skrzydeł rozwija,
I płynie, a ślad czerwony,
Jak bruzdy na falach mija.
W gaiku szepcą powoli,
Drżąc mile listki topoli.

Co smukło rośnie nad brzegiem.
Wdzięcznie zasiew szumiąc płynie,
Zieloną falą w dolinie,
Z miłego powiewu biegiem.
Lubość nam wszystko ożywia,
Nią tchną brzegi, niebo, woda!
Wszędzie ślicznie! ta swoboda
Jakże błogo uszczęśliwia!—
Tak, synu, Iryn zawoła,
Natura pocieszyć zdoła,
Szczęście zapewni prawdziwe;
Ale gdy życie cnotliwe,
I dzika żądza zdaleka,
Co tłumi czucie łagodne
Piękności w sercu człowieka.
O kochane moje dziecię,
W krótce ja porzucę ciebie,
I w piękniejszym jeszcze świecie
Żyć będę chwile swobodne,
Nagrodzony za poczciwość,
Od Ojca naszego w Niebie.
Ach! błagam cię, synu drogi!
Zawsze bądź mi stałym w cnocie,
Wsparcia nie odmów sierocie;
Przyjmij biednego w twe progi,
Okazuj dla niego tkliwość,
Jak brat powinien dla brata.
Czyń wszystko dla szczęścia świata,

Pracuj: wznoś twojego ducha,
Tkliwie ku Władcy natury;
Bo on jest Ojcem stworzenia;
Bo jego mocy skinienia,
I szalone morze słucha,
I groźne wiatry i chmury.
Lecz nad dzieło złego czynu
Przenięś lepiej śmierć, o synu;
Wziętość, zbytek, okazałość,
Bardzo krótką mają trwałość.
W twojem życiu poznasz całem,
Że najpewniejszym udziałem,
Jest spokojność serca złota,
Którą ci zapewni cnota. —
Podobnie zawsze myślałem,
I Bóg mi pociech udzielił,
I z tem się włos mój ubielił.
A chociaż tak liczne lata,
Jak uboga stoi chata,
Zielone widziały bory;
Jednak miłe serca bicie
Napełniało moje życie,
Co, jak pięknej wiosny pory,
Upłynęło śród wesela,
Którego cnota udziela.
Ale i mnie cios nie minął!
I łez potok z oczu płynął,
Gdyś ze mną opłakał brata:

Wtenczas cała postać świata
Była mi obcą i marną,
I nocą zakryta czarną.
Często w burzy groźne wały
Mą łódką wściekle miotały,
Wznosząc ją ze mną pod chmury;
Na szczycie pienistej góry,
W łódce wisiałem wysoko;
I z nowu, z bałwanem grzmiącym,
Zapadłem w przepaść głęboką:
Wtedy lud morza był drżącym,
Słysząc nad głową huk fali,
I w głębiach krył się najdalej.
Mnie się zdało, w strasznej dobie,
Żem w morskich przepaści grobie.
Raz jeszcze okropna burza
Skrzydła w bałwanach zanurza,
Z nich jezioro na mnie spadło.
Lecz wichru ustały wycia,
Błysły pogody promienie,
I czyste morza zwierciadło
Niebios odbiło sklepienie;
Jesiotr niebieski z ukrycia,
Wychyla czerwone oko,
Przez zioła morskiej głębizny,
Z przepaści szklanej ojczyzny;
Ludu morskiego tysiące
W falach pląsają szeroko,

Piękne pozłaca go słońce;
Do mego serca wróciła,
Z radością spokojność miła.
Teraz już nad grobem stoję;
Lecz się go wcale nie boję.
Wieczór mój będzie wspaniały,
Jak był ranek i dzień cały.—
Synu! bądź tylko cnotliwy,
A będziesz, jak ja, szczęśliwy;
Natura, w każdej potrzebie,
Wdzięczną się stanie dla ciebie.
Łzy się puściły synowi,
Uścisnął Ojca i mowi:
Ty nie umrzesz, Ojcze drogi,
Zachowa cię ten, co w Niebie,
Dla syna pociechy błogiej.
Cicho do chatki wracają,
Bo noc już powstała z morza.—
Dni Iryna zgasła zorza;
A syn dobry łzy mu święci,
I nigdy z jego pamięci
Nie wyjdzie ten wieczór miły.
Święte przejmuje go drżenie
Na tkliwe Ojca wspomnienie,
Kiedy obraz jego miły,
Jak Anioł w myśli mu stanie:
A słodkie upominanie,

Zawsze ma w sercu i w głowie.
Z łaską Nieba lata rosną;
I w długiej życia osnowie
Każdy dzień dla niego wiosną.

KASIA.

Sielanka.

Biedna Kasia, zapłakana,
Wyszła z chatki wcześnie z rana,
Biegnie drożyną, przez pole,
Nie jeden kamyk w nóżkę ją zakole.
Czemu raz idzie między krzaczkami?
Czemu trawkę rosi łzami?
Zboczy nad strużkę, nadstawia ucho;
A nic nie widać, i wszędzie głucho;
I tylko czasem rybka się pluśnie,
Tylko robaczek po wodzie muśnie,
Tylko się listki, lekkie, jak motyle,
Rannym wietrzykiem poruszą na chwilę.
I czegoż płacze, i oczy łzawe
Ku Niebu wznosi w milczeniu?
Biedna dziewczynko! Niebo łaskawe,
Tam znajdziesz ulgę w cierpieniu.
Słychać głos jakiś; i pieski żwawe,
Strząsając rosę uszami i sobą,

Pędzą trzodkę niliczną; i słonko już wstaje;
Ptaszków pieśniami ożyły gaje.
Ciekawy pasterz stanął za tobą,
Długo dumania Kasi nie przerywa,
Nareście tak się odzywa:
Coż ci to? dziewczę, może macocha
Wygania z domu, ojczym nie kocha?
Możeś niedawno straciła Matkę?
Albo inne nieszczęście nawidziło chatkę?
Dobry człowieku, odpowie sierotka,
Toćto nas biednych niejedno złe spotka.
Nie na tym świecie Rodzice moi:
Tam, gdzie krzyż wielki przy drodze stoi,
Tam śpią oboje, między swojemi:
Dawno ich garstką pokryłam ziemi;
Maleńką byłam, ale ich pomnę,
Wszystko mi po nich, jak dziś przytomne;
I codzień trzódka tamtędy chodzi,
A gdy słoneczko za bór zachodzi,
Na darni, co ich kryje pagórek,
Klękam i płaczę, mówię paciorek.
Gdy ich Bóg zabrał do swojej chwały,
(A wtedy wymarł nasz zakąt cały),
Nie było krewnych, coby mnie wzięli;
A inni biednej przyjąć nie chcieli:
Przecie się sąsiad zlitował Kasi;
Bo go tak państwo skłonili nasi:
On dobry dla mnie, i gospodyni,

Żadnej mi krzywdy, żadnej nie czyni;
Jeszcze mi latoś, na święto moje,
Sliczną owieczkę dali oboje.
Ja to stworzenie samam karmiła,
Ja w koraliki moje stroiła:
A gdy mi z domu iść gdzie wypadło,
Tęskniło po mnie, i nic nie jadło.
Budzę się rano, biegnę do podwórka,
Strach mi się zrobił, otwarta obórka,
Nie ma owieczki, i szukam i płaczę;
Już mej owieczki nigdy nie zobaczę.
Utul się, dziecię, przygoda nie czeka,
I w dzień, i we dnie nawiedzi człowieka.
Ale Bóg dobry cieszy niespodzianie,
Kiedy pełnimy jego przykazanie.
Mam liczną trzódkę, nie zuboży jedna,
Wybierz z niej sobie, dziewczynko biedna,
Wybierz podobną, jak twoja, białą.
Biedne mu dziewczę tkliwie dziękowało:
A pasterz za nią poszedł do sąsiada;
Jego rodzina w gościnie mu rada,
Bo tę dziewczynkę jak własną kochali:
Ona z dobroci każdemu jest miłą,
Każdy jej serce, jej cnoty chwali;
Niebo ją za to wynagrodziło;
W krótce, za jednę owieczkę straconą,
Tkliwy ją pasterz powitał żoną.

WYJĄTEK z IDYLLI

Pani Dezulier (Deshouliere).

Wy miejsca nieprzyjazne szczęścia mego doli,
Tu pierwszy raz miłosnej doznałam niewoli!
Tu zobaczyłam tego, co mnie zajął całą,
I tu pierwsze westchnienie jemu się poddało;
Lecz, gdym mu się lękała uczucia wyjawić,
Niestety! z psem się wolał ów niewdzięcznik bawić.
Nie czuły na mą rozpacz, i na pomieszanie,
Nie widział, albo nie chciał mnie widzić w tym stanie;
Wielbił mój flet, mą suknię, dobytek w barankach,
Powiedział, iż mi zagra piosnkę na multankach,
Na co słońce przyciąga wyziewy ku sobie;
Nie miałże o czem tkliwszem mówić w owej dobie?

KWIATY ŻYCIA.

Wiersz Jerzego Lotza, niewidomego Poety, naśladowany z jego Zbioru Poezyj, wydanego pod tytułem:
GEDICHTE von GEORG LOTZ r. 1836.

W mej życia wiośnie, na błoniu swobody,
Zerwałem kwiaty, miłą woń dające,
W kielichach, jak djamenty, jak pereł tysiące,
Niebieskiej rosy jaśniały wody:

* * *

I na te kwiaty, i na tę wiosnę,
Patrzyło oko moje radosne;
I uniesiony młodości zapałem:
Ja was dla siebie zachowam! wołałem.

* * *

W tedy czas do mnie te wydał głosy:
Zabieram kwiaty, ony są moje;
A ty zachowaj kropelki rosy,
Te łzy, tak, te łzy — niech będą twoje.

ŻYCZENIE

w dniu Imienin, ofiarowane W. Jozefie Zednik, od wdzięcznych uczenic, roku 1837.

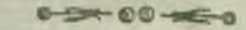

Tęskna zima bliżej końca,
Wszędzie nowe czucie tchnie;
Na błogim promieniu słońca,
Milsze wiosny schodzą dnie.

* * *

Jak na myśl, że błysną kwiatki,
Budzi się radości głos;
Tak i serce dobrej Matki,
Rozwesela dzieci los:

* * *

I wszystko jej zdobi życie,
Jakby w wiośnie młodych lat,
I każde jej serca bicie
Rozkoszą napełnia świat.

* * *

Czucia Matki nic nie skryśli,
Żaden wyraz nie da znać;
Jak uprzedza dziatek myśli,
Jak w nich serce pragnie wlać;

Jak wszystko podziela z niemi,
Dla nich dzień ma, dla nich noc;
Jak w nich jej Niebo na ziemi,
Wdzięk życia, i życia moc;

* * *

Jak do szczęścia, w każdej dobie,
Chciałaby im wskazać tor;
Ach! Pani, głos prawdy w tobie,
Takiej Matki widzi wzor.

* * *

Lecz twoim celem kochania
I przybrane dzieci są;
Nas opieka twa zasłania,
Światło nauk milsze z nią.

* * *

I twoj uśmiech w sercach włada,
I pieści, jak rosa liść,
Ach! jak luba twoja rada,
Pozwol za nią długo iść!

* * *

Każda wszystko ci poświęci,
Nawet złoty życia zdroj:
I wieki w serca pamięci,
Bo to wszystko dar jest twoj.

I wdzięczności lube kwiatki,
Ktorych majem życia zdroj:
I słodkie nazwisko Matki;
Bo nad wszystko dar jest twoj.

WIĄZAREK

na dzień chrztu dziecięcia, z Gietego.

O luba corko! ty pociecho tkliwa
Rodziców, po dniach smutku i żałoby,
Jeszcze niemowlę, jużeś tak szczęśliwa,
Że rozwes asz najmilsze osoby:
Niechaj ci latek, im szczęścia przybywa,
Kwitnij dla nich radością każdej życia doby.

DO WIOSNY.

Sonet.

Wiosna zakwitła, i w sercach ludzi
Jej głos się odbił, lubem istnieniem,
Tysiące uczuć na nowo budzi,
Rozkoszy tchnieniem, radości tchnieniem.

Niech się niejeden w zabawie nudzi,
Niechaj występny dręczy sumieniem;
Precz, co myśl moję więzi i trudzi;
Ty, miła pore, bądź mi natchnieniem;

* * *

Choć ogień serca wiek mi ostudzi,
Mój duch się zajmie świata płomieniem,
Z światem odżyję, zdala od ludzi,
Rozkoszy tchnieniem, radości tchnieniem.

* * *

Bo łąki, pola, doliny, góry,
I te, co chyżo płyną strumienie,
I błękit niebios, i złote chmury,
I śpiewy ptasząt, i listków drżenie,
Wszystko mi dałeś, Stwórco natury!
Abym w nich znalazł szczęścia spełnienie.

NARZECZONA.

Śliczna jak zorza, w odzieniu Anioła,
W świątyni pańskiej zjawia się dziewica,
Niebieski promień jaśnieje z jej czoła,
Czystość anielska zarumienia lica.

Przy niej znajomi, krewni i rodzeństwo:
Do nieba szczęścia prowadzi jej droga!—
Przyjąć z kapłana ust błogosławieństwo,
Po kwiatach idzie przed oblicze Boga!

* * *

Nim przyjmie słowa świętego wyroku,
Z nieznanem czuciem, z nieznaną rozkoszą,
Dwie łzy, jak perły, zadrżały w jej oku,
A śnieżne łono westchnienia podnoszą.

* * *

Rączką dziewiczą pociesza ubostwo;
Dzieciny, starcy tłumami się cisną,
Kościoł pobożnych napełniło mnostwo,
I wkrotce światła uroczyste błysną.

* * *

A ona życia przelicza godziny,
I wszystkie w szaty przybrane wesela:
Była pociechą, Aniołem rodziny,
Będzie Aniołem swego przyjaciela!

* * *

Jież to cpok!— Córka i kochanka!
Żona i Matka!— o drogie nazwiska!
Sama tych wspomnień miła, luba wzmianka,
Z jej źrenic rosę radości wyciska.

Już kapłan złączył ukochane dłonie;
Wszystkie jej czucia w jedno się zebrały,
I drżące serce w drżącem bije łonie,
Jak rożę rosa, tak ją łzy oblały.

* * *

I nie wie, czemu te łzy z oczu płyną,
Płacze jak dziecko, co świat powitało:
I wszyscy, jakby jej byli rodziną,
Rzewni jej łzami, dla niej duszą całą.

* * *

Patrzaj, dziewico!— w górze jasność błysła!
To gwiazdka raju, ktory przyjął ciebie!—
Ciesz się!— na zawsze nad tobą zawisła;
Tak dobrej corce Bog przeznaczył w Niebie.

BAJKI.

WILK I PASTERZE,

z Greckiego.

Razu jednego, pasterzy grono,
Jadło w szałasie owcę pieczoną,
Wilk zwietrzył ucztę, zbliżył się pod szałas,
I rzekł: gdybym to zrobił, oj byłżeby hałas!

HERKULES I JUNONA.

BAJKA

naśladowana z Lessynga.

Kiedy ubostwionego małżonka Omfali,
Bogowie na Olimpie z radością witali,
O ile mogła, wypogodzona,
Powszechne uniesienia dzieliła Junona,
Ta Junona, co na ziemi
Dręczyła bohatyra sposoby wszelkiemi.
Nareście tak do niego grzeczny głos podniesie:
Powiedz mi, czy się jeszcze gniewasz, Herkulesie?
Ja ci wdzięczność winienem, rzecze Alcyd śmiały,
Tyś mi drogę wskazała do przybytku chwały.

WILK I BARANEK.

BAJKA

naśladowana z Fedra.

Zawsze znajdzie przyczynę, kto zdobyczy pragnie.
Wilk nad źrodłem spotkał jagnię,

Ktore w upale szukając ochłody,
Białą mordeczkę zbliżyło do wody.
W tedy wilk chytry, łotr z napaści znany.
Rzecze: Słuchajno, barani synu!
Czemuś pomącił czystość mego płynu?
A baranek mu na to: Moj panie kochany!
Szukasz zaczepki, i kłotni jedynie;
Jesteś na górze, ja na dole stoję,
Od ciebie do mnie ta woda płynie,
Widzisz więc przecie niewinność moję.
Panowie wilcy, znacie to sami,
Że wam pierszeństwo dane przed owcami;
Miejcie też czasem i litość nad nami.
I zamiast gnębić udzielcie obrony.
Zgrzytnął zębami wilk zawstydzony;
Lecz się nadziei zdobyczy nie zrzeka,
I tak przemowi: Niechno wać zaczeka,
Jeżli mnie pamięć moja nie myli,
(Bom nie dzisiejszy, jak widzisz jest sobie,
I kurcz żołądka cierpię w tej dobie),
Roku... miesiąca... Oj! co łamać głowę!
Będzie pół roku, aż do tej chwili,
Jakeś miał do mnie szkaradną przemowę,
Jakeś mnie złajał, skląt, na czem świat stoi.
Ach! z przeproszeniem waszmości pana,
I to nie prawda, rzekł bazia; a przecie
Ja w tedy jeszcze nie byłem na świecie.
Łebskiś, wilk mowi, lubię acana:

Tak, tak, to nie ty, ale krewni twoi;
A podobno tatulek, co się pyszni z rogów;
Tak, nie inaczej, przysięgam na bogów!...
A wreście, kto was odrożni?
Ten, nie ten, wszystko jedno, i pożarł, jak swoje.—
Jeźli pozwolicie, możni,
Wam ofiaruję tę bajeczkę moję.

DZIECIĘ I OSA.

BAJKA

przełożona z włoskiej Piniottego.

Chłopczyk swawolny i żwawy,
Co ledwie stałą nogą dotykał się ziemi,
W biegł do ogrodu podskoki szybkiemi,
I śród kwiatów, i ziela rozpoczął zabawy:
Tam osa złotem błyszcząca,
W ostre żądło uzbrojona,
Na lekich skrzydłach wzniesiona,
Już go oblata w koło, już listki potrąca;
Jasny jej kolor wabi wzrok dzieciny,
Chciwie wyciąga obiedwie rączyny,
Schwycić zdradliwy owad bierze ją ochota:
I już to zwinnie zapędza się po nią,

Rączkę otwiera, i szybko zamyka;
Już na powietrzu prożną macha dłonią;
Ale brzęcząca zdobycz, przed jego pogonią,
W błękitach znika.

Nie ustał chłopczyk, i w lewo i w prawo,
Gdzie ją ujrzy, pędzi żwawo.
Osa w powietrzu robi tysiąc zwrotów,
Nakoniec zmordowana chyżością polotów,
Po tak nużącej podróży,
Siada na miękiem łonie purpurowej róży.
Tego mu było trzeba, bez tchu na nię czycha,
Na palcach zbliża się z cicha;
A potym nagle z rączką się wysili,
Tak i rożę i osę chwyta w jednej chwili.
Ale owad rozgniewany,
Żądłem kolącem ciął go niespodzianie:
Chłopczyk bol uczuł w palącej ranie,
I łzami o pomoc prosił,
Krzyk bolesny w niebo wznosił,
I bez sił prawie,
Padł na murawie.

Młodzieńcy bez doświadczenia,
Ktorych występne życzenia,
Częstokroć śmiało unoszą,
Za niepoznaną rozkoszą,
Uczcie się jej unikać, kiedy czas po temu;
Nierychło poźniej zabiega się złemu.

Niejeden z was po czasie z boleścią to wyzna:
Że najczęściej w ponętach mieści się trucizna.

MŁODY I STARY PUDEL.

Bajka z Pfefla.

Pewien miejski wiercipiętka,
Dla zabawy miał psów parę,
Z młodym pudlem psisko stare.
Na co bądź brała go chętka,
Czy chciał widzieć chyże skoki,
Czyli w marszu pewne kroki,
Jak ciągnąć wozek, jak iść do wody,
Jak stać na warcie, przez kij sadzić żwawo,
Wszystko to znał pudel młody:
Młodzik śmiał się, brał za boki,
Huczne za to bił mu brawo.
A tego psa pedagogiem
Był synal organisty, co miał swoje zdanie,
I tak go wprawił, że mu nałogiem
Stały się mistrza nauki,
Że je znał lepiej, niźli on czytanie;
Chociaż tam były i fuki i puki.
Jakoś raz na myśl wpadło wiercipięcie,
Wcale nowe przedsięwzięcie,

Czy stary pudel tych sztuczek nie pojmie;
Był ci to wprawdzie wierny stróż domu,
J całej psiarni najpierwsze oko;
Ale nie przyszło do głowy nikomu,
Żeby go kiedy uczyć tak wysoko.
Otoż go stawia plecami do ściany,
I tak obraca, jak sierżant rekruta;
A on pac, pac, na przednie łapy, co minuta.
Więc wołać mistrza, niech mu kijem dojmie!
Krzyknął panicz rozgniewany.
Młody bakalarz staje z powagą,
Potym się do psa nachyla,
Cały swoj dowcip wysila;
I nic nie wskorał groźbą, ani plagą.
Pudel ani go słucha, jak kozieł uparty;
Ale widząc, że z kijem u niego nie żarty,
Zaczął tak mruczyć: Łaskawi panowie,
Dajcie też pokoj mej siwej głowie;
Choćbyście całe męczyli mnie życie,
To mędrca ze mnie pewno nie zrobicie.
Z tego przykładu nauczcie się, dzieci,
By korzystać z młodości, bo czas szybko leci:
I wyżéj złota oceniać jej chwile;
Bo w niej nauki ziarno rozkrzewia się mile.

MUCHA ŚWIECĄCA I MUCHA CZARNA.

BAJKA.

Mucha, co błyszczy lazurem i złotem,
Chciwie upatrując jadła,
Na brzydkich śmieciach usiadła:
A gdy się już do woli natuczyła błotem,
Rzekła do czarnej,
Co piła z kropelki marnej:
O wzgardliwy rodzie,
Kału obmier-złego płodzie,
Czy nie masz innych łakoci,
Że tak chciwie pijesz wodę?—
Ta rzekła: Niech się, pani, o mnie nie
kłopoci;
Mam ja wszelaką wygodę,
Mam i swoje rozkosze:
Ależ pamiętać proszę,
Gdzieś się, pani, kręciła,
Gdzieś niedawno była?—
Czegoś w takim znoju
Szukała na gnoju?
Nikczemne plemie, masz postać ozdobną,
Lecz duszę wcale do niej niepodobną:
Kiedy ci trzeba, w szkarłatach i złocie,
Czołgasz się nędznie po błocie:
A wkrotce zadzierasz głowy,

I do niższych stosujesz ton haniebnej mowy;
A tak skutek piękności, co na tobie błyszczy,
Ledwo niezawsze czarna podłość niszczy.

SZCZYGIEŁEK.

BAJKA.

„Oj nie, nie będę w gniazdeczku siedział,
„Mam już i piorka, i skrzydełka mam;
„Z drzewa na ziemię nie wielki przedział,
„I o ten puszek niewiele dbam.
„Z początku tylko lot mały zrobię,
„Pod jasnem niebem, zwolna i nieznacznie;
„Aż i z wietrzykiem poigram sobie:
„A jak noc na świat spuszczać się zacznie,
„To na gałązce gdzie bądź usiędę,
„I do jutrzenki drzymać tam będę:
„Wszak mam już pono z górą trzy tygodnie.
„I choć u Mamy ciepło i wygodnie;
„Ale też nieźle użyć swobody,
„Pokim ochoczy i żwawy i młody.
Słyszała Matka, co prawił szczygiełek,
Synek milutki, jej nadzieja cała;
Przeto mu znosi mnóstwo pieścidełek,
Nareście do nich przestrogi dodała:

„Nie wierz, moj synku, zwodniczej ułudzie,
„Ktora cię mami, i szepce do ucha;
„Jeszcze ty nie znasz, co ten świat, co ludzie,
„Pomnij, że dziecię, co Rodziców słucha,
„Powolne nawet ich skinień przestrodze,
„Zawsze na dobrej znajduje się drodze.—
Mały nasz panicz jednem słuchał uszkiem,
A za swawolą był całem serduszkiem.
Więc kiedy Matka odleci,
Aby co przynieść dla kochanych dzieci,
Braciszki, siostry, zdrzymnęły się chwilę;
On się tymczasem podnosi cicho,
I mowi sobie: Gdybym leciał z milę,
Oj byłożby mi, było pewno licho!
Ale tak trochę pobujać z bliska,
Po tych gałązkach, po tej krzewinie,
I, toć nie zginę! w niczem nie przewinię;
A Mama synka za śmiałość uściska:
Bo co to jest za radość mieć zucha w rodzinie!
A jeźli słabość skrzydełek omyli,
Wrocę do Mamy, i to w każdej chwili,
Otoż niebawiąc, nasz mały zuszek,
Doświadcza swych skrzydełek, i opuszcza puszek.
Nieźle mu idzie pierwsze latanie:
To na tej, to na innej gałązce opada,
Aż mimo woli najniżej stanie.
Jakoś mu słabo; a więc inna rada.

Trzeba polecić do góry;
Ale niestety! zleciał na zagony,
Chce się ratować, przeszkadzają mury,
I tylko o nie uderza zdyszony;
I skrzydełka i główkę poranił okropnie,
I swego celu nie dopnie.
Nakoniec jakiś swawolnik przybiega,
Biedną ptaszynę postrzega,
Rzuca kapelusz, i sobą przygniata,
I nie uważa, jak na około,
Żałośnie jęcząc, nędzna Matka lata.
Swawolnik z potu otarłszy czoło:
Ha! mam cię, rzeczę, mam cię nareście,
Wsadzę do klatki, i przedam w mieście!
Zwodna radość!— bo kiedy uniosł kapelusza,
Widzi, jak się ptaszyna bynajmniej nie rusza.
O lube dzieci! swoboda nie fraszka;
Jest to klejnot, ktoremu mądrość cenę daje:
Pomnijcie zawsze na biednego ptaszka,
Ile bądź razy chętka w was powstaje,
Aby uciechy zabronionej użyć;
Bo możecie na karę, i wzgardę zasłużyć.

ORZEŁ.

BAJKA

Bystry Orzeł nakształt żagli,
Rozpina ogromne skrzydła,
I tam z szumem lot swoj nagli,
Gdzie bujają stada bydła;
Mija pagorki i góry,
I szczyty wyniosłych domów,
Mija ogni pełne chmury,
Ani go razi huk gromów;
Mija przepaści i skały,
I łąk powabnych dosięga;
Tam, gdy go ptaszki ujrzały,
Jak szeroka w centki wstęga,
Na powietrze się unoszą,
Piszczą, świszczą, lżą go bardzo,
Stroić żarty ich rozkoszą,
I wspaniałym Orłem gardzą.
Strach ogarnął większe ptaki,
Zdawało się, że je w szpony
Ujmie, w bije, jak na haki,
Słusznie, wielce obrażony;
Lecz on nie stał się ich plagą,
Nie dbał na prożne hałasy,
Wzrok dumny rzucił z powagą,
I leciał dalej przez lasy.

Tak mąż ślachetnego ducha,
Dążąc do wielkiego czynu,
Nagan i obelg nie słucha,
I pogardza wrzaskiem gminu.

WILK I WRONA.

BAJKA

Wilk, choć to mądry i stary,
Jeszcze albowiem Krasickiemu znany,
Że dusił głupie owce i barany,
(Jeśli bajki godne wiary),
Ścigany od wołu,
Wpadł po raz drugi do dołu:
Natychmiast się, jak zwykle, w pokutnika zmienia,
I opłakuje dawne przewinienia.
Z początku mruczał pod nosem,
Nareście zawył rozpaczy głosem;
Co gdy posłyszała wrona,
Ciekawością ośmielona,
Szybko nad jamę poskoczy,
Strach ją naprzod ogarnął, zamrużyła oczy;
Ale po chwili,
Kiedy się sobie wzajem przypatrzyli,

Rzekła: Moj panie Bury, połajcie się sami,
Czemuście nie postrzegli, że doł pod nogami;
On na to: Skrzętnie zawsze unikałem jamy;
My je wilcy z węchu znamy.
Mojej niedoli inna jest przyczyna:
Tam, gdzie się kończy wioska, a lasek zaczyna,
O rannej porze,
Gdy rożane błysły zorze,
Wyszedłem sobie z boru na przechadzkę,
Spostrzegłem zaraz piekielną zasadzkę:
Mruknąłem na nię z zapałem,
I troskliwie ją mijałem;
Wtym jednym razem,
Ujrzę wieśniaków z cepami, z żelazem,
I baby w drągi, w ożogi zbrojne,
Gotowe jakby na wojnę.
Nadto o swojej przekonany cnocie,
Nie chciałem jednak dowierzać chołocie,
I gdy uciekam przed temi natręty,
Wleciałem oto w ten doł przeklęty.
Jeźliś przeto
Litościwa,
Co zaletą
Waszą bywa,
Idź do owieczek poczciwych,
Ktore, jak wiesz, ratować lubią nieszczęśliwych,

I powiedz; że ich wilczek ze łzami,
Prosi, błaga i zaklina,
By go przyszły uwolnić wszelkiemi siłami:
Powiedz, że on dobrodziejstw nierad za-
pomina.
Tą patetyczną mową niewzruszona,
Odpowie przezorna wrona:
Siadłszy pod domem, chłopców usłyszałam kilku,
Czytających bajeczkę o niewdzięcznym wilku,
I o głupiem owiec stadzie;
A przeto we mnie,
Daremnie,
Pan Bury zaufanie kładzie.
To powiedziawszy, wzleciała na pole,
I pokutnika zostawiła w dole.

WYJĄTEK

z FEDRY

TRAJEDYI w V. AKTACH,

TŁUMACZONEJ z FRANCUZKIEJ

RASYNA.

OSOBY.

TEZEUSZ, syn Egeja krola Aten.
FEDRA, żona Tezeusza, corka Minosa i Pasyfai.
HIPOLIT, syn Tezeusza, z Antyjopy, krolowy Amazonek.
ARYCJA, księżniczka ze krwi krolow ateńskich.
ENONA, mamka i powiernica Fedry.
TERAMEN, powiernik Hipolita.
JSMENA, powiernica Arycji.
PANOPA, jedna z kobiet Fedry.
Straże.

(Rzecz dzieje się w Trezenie, mieście Peloponezu).

AKT I.

SCENA I.

HIPOLIT I TERAMEN.

HIPOLIT.

Cel moj stały; wyjeżdżam, luby Teramenie,
W krotce mnie nie zobaczysz w przyjemnej Trezenie,
Niepewność, rowna śmierci, broni mi wytchnienia;
Już mnie bezczynność moja wstydem zarumienia.
Przed poł rokiem opuścił Ojciec prog domowy,
Odtąd nie wiem o losie tak drogiej mi głowy,
Nie wiem, jakie go teraz zatrzymują kraje?

TERAMEN.

Panie, gdzież ci go jeszcze szukać pozostaje?
Już, aby cię od słusznej oswobodzić trwogi;
Obiegłem na twoj rozkaz Koryntu odnogi;
Badałem o Tezeja tych brzegów narody,
Gdzie giną w państwie cieni Acherontu wody;
Z Elis, minąwszy Ereb, aż tamem popłynął,
Gdzie pamiętną przygodą Ikar w morzu zginął.
Z jakąż jeszcze nadzieją, i pod jakie nieba,
Dla zejścia jego śladów udać ci się trzeba?

Ktoż wie, czyli nie Ojca własna w tem przyczyna?
Czy nie chce być ukryty dla nas i dla syna?
Może, gdy się o niego lękamy co chwila,
Jemu dni nowa miłość w zaciszy umila;
Może dla lubej, którą łudząca nadzieja...

HIPOLIT.

Stoj! drogi Teramenie, i szanuj Tezeja:
Te słabości na zawsze odjął mu wiek młody,
Już go nie zatrzymują niegodne przeszkody;
Smutną jego niestałość Fedra pokonała,
Jest pewną, że ku innej miłością nie pała.
Ja szukając go, serca dogodzę potrzebie,
I opuszczę te miejsca tak zgubne dla siebie.

TERAMEN.

Ach! odkądże cię, panie, trwogą przeraziły?
Luby ich widok z młodu bywał ci tak miły,
Żeś tę spokojną zacisz przenosił z wyboru,
Nad świetną wrzawę Aten, i nad blaski dworu.
Czy drogę nagli troska, lub złe przewidziane?

HIPOLIT.

Minęły szczęsne chwile, wszędzie widzę zmianę,
Odkąd, za wolą, bogow przybyła, niestety!
Ta corka Pasyfai, z prawodawcy Krety.

TERAMEN.

Rozumiem cię, i smutku przyczynę poznaję,
Fedra twojemu sercu tę ranę zadaje.
Niebezpieczna macocha, ujrzawszy cię, panie,
Oznaczyła swą wziętość przez twoje wygnanie;
Ale nienawiść, ktorą tchnęła przeciw tobie,
Albo już zgasła, albo jest mniejszą w tej dobie.
Jakież niebezpieczeństwo grozi ci nareście,
Przy bliskiej śmierci, śmierci pragnącej nie-
wieście?
Fedra, tknięta nieszczęściem, ktore tai skrycie,
Znienawidziwszy razem i siebie i życie,
Jakież tobie szkodliwe zamiary mieć może?

HIPOLIT.

Jej prożną nienawiścią wcale się nie trwożę;
Hipolit od innego stroni przeciwnika,
On dziś pięknej Arycji spojrzenia unika:
Chroni się szczątka rodu, co nam zdrady knował:

TERAMEN.

I tyżbyś nawet, panie, ty ją prześladował?
Dobroci pełna siostra Palantowych synów,
Kiedyż dzieliła zbrodnie i dzikość ich czynow?
Trzebaż ci prześladować jej wdzięki niewinne?

HIPOLIT.

Dla tegożbym opuszczał siedlisko rodzinne?

TERAMEN.

Mogąż przyczynę drogi zjawić usta moje?
Nie przed tymże niezgiętym Hipolitem stoję,
Co więzom, ktore Ojca tylekroć nękały,
I miłości założył opor wiecznotrwały?
Wenus, ktorej gniew twoja wyniosłość porusza,
Także usprawiedliwi słabość Tezeusza?
A mając ciebie w innych śmiertelników rzędzie,
Czy i z rąk twych ofiary przyjmować już będzie?
Ty kochasz?

HIPOLIT.

Przyjacielu, jakaż to jest wzmianka?
Ty, co znasz serce moje od życia poranka,
Chceszże, abym szanował miłości ponęty,
Wzgardę w łatwość zamienił, a na tkliwość wstręty?
Niedość że z Amazonki tę dumę wyssałem,
Ktorą ty nieraz wielbisz uniesień zapałem;
Ale skoro nadeszła lat moich dojrzałość,
Gdym się poznał, mych uczuć zdumiła mnie stałość.
A ty, ktorego ku mnie troskliwość natchnęła,
Wyliczałeś mi wtedy Ojca mego dzieła.
Wiesz, jako dusza moja na twych ustach cała,
Powieścią się tych świetnych wypraw zapalała.

Gdyś opisał Tezeja, ten wzor mężów dzielnych,
Cieszącego po zgonie Alcyda śmiertelnych,
I uskromienie potwor i mordów Scyrona,
I Damasta, Synnisa, albo Cercyjona,
I rozrzucone kości zbojcy Peryfeta,
I jak krwią Minotaura spieniła się Kreta:
Lecz gdyś wymieniał jego miłości ofiary,
I w stu miejscach złamanie przysiężonej wiary,
Jak porwana Helena, Rodziców nadzieja,
I Salamina świadkiem jęków Perybeja,
I tyle innych, ktorych przepomniał nazwiska,
Swojej łatwowierności i zdrady igrzyska!
Aryjadnę jękami wzruszającą skały,
I Fedrę, ktorej lepsze wyroki sprzyjały;
Wiesz, z jak bolesnem czuciem słuchałem tej mowy,
I często o skrocenie prosiłem osnowy,
Szczęśliwy, gdyby hydna pięknych dziejów karta,
Niewygasłej pamięci mogła być wydarta.
Jażbym się dał usidlić słabością tą samą?
Mnież mają zniżyć bogi tak haniebną plamą:
Podłośćby moich westchnień wzgardliwszą się stała,
Że Tezeja wymawia nieśmiertelna chwała;
Ze jeszcze żadne dotąd potwory zgnębione,

Nie mogą na mych błędów posłużyć obronę!
Gdyby nawet ta duma była złagodzona,
Czyliż tylko Arycja me serce pokona?
Czyby mi w obłąkaniu pamięć nie przywiodła,
Wiecznej dla nas przeszkody, i rozdwojeń
źródła?

Znasz groźny zakaz Ojca, by ta krew niemiła,
W siostrzanach dzikich braci nigdy nie odżyła;
Obawia się potomka zdradnego plemienia,
Pragnąc w siostrze zagubić ślady ich imienia;
Stąd chce mieć aż do zgonu pamięć o jej doli,
I na ślubne z nią związki nigdy nie zezwoli.
Jaż z nią dzielić jej prawa przeciw Ojcu mogę?
Ja do śmiałości innym mam otworzyć drogę?

TERAMEN.

Jeżeliś przeznaczonej bliski jest godziny,
Bogi się nie pytają o żadne przyczyny.
Twój Ojciec jątrząc płomień, oporem zajęty,
Powiększa nienawiścią księżniczki ponęty.
Alboż cię czysta miłość przejmuje obawą?
Chceszże, jeśli ma powab odrzucać jej prawo?
Jej pogardę czy tylko dzikość twoję wyda?
I ktoż się lęka błądzić przykładem Alcyda?
Jakiegoż dotąd męztwa nie zgięła Wenera?
Ty, któregoś się serce stale jej opiera?
Gdzież byłbyś, gdyby, łamiąc himenu ogniwo,

Antyjopa wstrzymała swą miłość wstydliwą?
Coż więc znaczy wyniosły ten sposob mowienia?
Wyznaj, że dawną postać wszystko dziś odmienia.
Dawniej śmiały i dziki, ponad morskim brzegiem,
Częściejś kierował wozu nieścignionym biegiem,
I częściej, biegły w sztuce ślachetnej Neptuna,
Uskramiałeś wędzidłem rżącego bieguna.
Rzadko dziś naszym krzykiem grzmią bory i skały,
Pełne skrytego ognia twe oczy omdlały:
Ktoż namiętnych płomieni z ciebie nie wyczyta?
Poznaję, że cię dawno niszczy miłość skryta,
A więc piękna Arycja zajęła twą duszę?

HIPOLIT.

Teramenie, po Ojca oddalić się muszę.

TERAMEN.

Czyliś Fedrze ubliżysz winne pożegnanie?

HIPOLIT.

To jest moim zamiarem; pamiętałem na nie.
Dopełnę obowiązku, nim się udam w drogę.
(*Spostrzegłszy Enonę*)
Coż to? smutek Enony zwiastuje mi trwogę.

SCENA II.

DAWNI. ENONA.

ENONA.

Ktoraż okropność mojej rowna się obawie!
Krolowa życia kresu jest już bliską prawie.
Prożno jej pilnie strzegę, i we dnie i w nocy,
Na ręku mojem kona z ukrytej niemocy;
Jej umysłem śmiertelne pomieszanie miota;
A z łoża ją wygania bezsenna zgryzota;
Dnia pragnie; lecz boleścią przepełniona dusza,
Do oddalenia wszystkich ciągle mię przymusza.
Zbliża się...

HIPÓLIT.

Dosyć na tem, zejdę przed jej okiem,
Ażeby jej nie ranić niemiłem widokiem.

(Odchodzi)

SCENA III.

FEDRA. ENONA.

FEDRA.

Nie postępujmy dalej, kochana Enono,
Ustać nie mogę, jestem siły pozbawioną.
Jasność, do ktorej wracam, nie jest mi przyjemną;

A pomdłałe kolana chwieją się podemną.
Przebog! (*siada*).

ENONA.

Wszechwładne bogi, niech was łzy ukoją!

FEDRA.

Jak te prożne ozdoby, te zasłony znoją!
Jakież kształcąc te sploty mnie natrętne dłonie,
Skwapliwie moje włosy zebrały na skronie!
Wszystko mię dręczy, wszystko budzi zgrozę we mnie!

ENONA.

Pani, twoje życzenia niszczą się wzajemnie.
Potępiając niesłuszne zamiary i jęki,
Chciałaś, ażeby w strojach jaśniały twe wdzięki.
Zebrawszy siły, wyszłaś z tajemnych podwoi,
By dzień widzić, by ciebie oglądali twoi;
Skądże teraz pochodzi niepojęta zmiana,
Że ci nie miłą jasność dawniej pożądana?

FEDRA.

Nieszczęśliwej rodziny, Opiekunie, wielki,
Ojcem z chlubą od mojej zwany rodzicielki,
Ty, co się za mnie może rumienisz na niebie,

Słońce, po raz ostatni dziś oglądam ciebie.

ENONA.

Nigdyż cię wstręt okropny niszczyć nie przestanie?
Czy tak zawsze na życie budząc wyrzekanie,
Wszystko do własnej śmierci będziesz sposobiła?

FEDRA.

Bogi! czemuż mnie w cieniach puszcza nie ukryła!
A wy fortunne oczy, w jakiej szczęsnej porze
Będziecie woz polotny ścigały w przestworze!

ENONA.

Jakto, pani!

FEDRA.

Zbłąkana, gdzież jestem? com rzekła?
Dokądże się z rozumem chęć moja zaciekła?
Ach! już go z woli bogow nie mam nieszczęśliwa;
Enono, płomień wstydu moję twarz pokrywa.
Dociekłaś sprosnych jękow pod łatwą zasłoną.
Nie chciałam; ale we łzach oczy moje toną.

ENONA.

Jeźli się masz rumienić, niech cię zarumienia,

Ten, co niedolę zwiększa, twoj upor milczenia.
Troskliwości niechętna, i na rady głucha,
Czyliż w nędznej rozpaczy chcesz wyzionąć ducha?
Jakaż srogość przecina śród biegu dni twoje?
Jaki jad, jaka rozkosz zatarła ich zdroje?
Już niebiosa potrzykroć obwiodła pomroka,
Odkąd sen luby twego nie przychylił oka;
A dnia jasność potrzykroć spędza nocne cienie,
Odkąd cię nie posila błogie pożywienie.
Jakiż okropny zamiar twem sercem zawładał?
Godzić na własne życie ktoż ci prawo nadał?
Fedro, znieważasz bogow, pragnąc jego zguby,
Zdradzasz małżonka, z ktorym związały cię śluby;
Zdradzasz wreście, niebaczna, nieszczęśliwe dziatki;
Bo je pod srogie jarzmo przeznacza błąd Matki.
Pomnij, że ta, gdy ciebie utracą godzina,
Wroci zgasłe nadzieje cudzoziemki syna,
Ktory zawsze na ciebie, i na twoj rod godził,
Pełnego dumy, co się z Amazonki rodził,
Hipolita....

FEDRA.

Bogowie!

ENONA.

Jesteś tem wzruszoną?

FEDRA.

Przebog! jakież to imie wspominasz, Enono!

ENONA.

Pani, słusznie w twą duszę nagły gniew wstępuje,
Widząc odrazę twoję, radośc w sobie czuję:
Żyj więc, miłość, powinność mając za podniety;
Żyj, nie dozwol, by plemie scytyjskiej kobiety,
Szerząc nad dziećmi twemi władzę im niemiłą,
Krew najpiękniejszą Grekow, krew bogow zgnębiło.
Lecz śpiesz się, bo śmierć twoja pewna w każdej chwili:
Niech cię ginącą wczesny ratunek zasili;
Poki życia pochodnia, zagaśnienia bliska,
Jeszcze może się zająć, i światełkiem błyska.

FEDRA.

Zadługom ożywiała jej płomień zwodniczy.

ENONA.

Ach! jakiejże męczarni doznajesz goryczy?

I po jakim występku tak cię rozpacz nęka;
Wszak się na krew niewinną nie targnęła ręka?

FEDRA.

Dzięki Niebu! występku nie tknęła jej plama;
Oby i w sercu była niewinność ta sama.

ENONA.

Jakiż okropny zamiar ułożyłaś skrycie,
Że ci tak serce zranił, i ohydził życie?

FEDRA.

Dosyć mowiłam: reszta niech przy mnie zostanie,
Umrę, by wziąć do grobu haniebne wyznanie.

ENONA.

Umrzyj, niech z tobą ginie tajemnica dzika;
Lecz niechaj inna ręka powiek ci domyka.
Choć życie twoje gaśnie, ja wyprzedzę ciebie;
Tak moj duch pierwszy stanie w cienistym Erebie:
Tysiącem drog w te miejsca śmiertelnik przybywa;
Mnie najkrotszą oznaczy boleść sprawiedliwa.

Kiedyż zdradziłam wiarę złożoną w twe ręce!
Pierwsza tuliłam twoje krzyki niemowlęce!
Dla cię kraj, dzieci, wszystko odbiegłam; te straty
Nie godneż są piękniejszej wierności zapłaty!

FEDRA *(Klęka)*

Ach! zrzecz się skutku prośby, a mnie skroć męczarnie;
Jeśli przerwę milczenie zgroza cię ogarnie.

ENONA.

W tem, co usłyszę, jestże okropności tyle,
Jak w śmierci, ktorą bliskie zwiastują ci chwile.

FEDRA.

Wyznania, mojej zbrodni i męki nie zmniejszą,
Umrę i w tenczas: umrę daleko winniejszą.

ENONA

Fedro, na łzy, tylekroć dla ciebie płynące,
Na te, ktore objęłam twe kolana drżące,
Błagam cię, z niepewności wyrwij mię otchłani.

FEDRA.

Chcesz tego; wstań!

ENONA *(wstaje)*

Mow, odkryj, ach! słucham cię, pani.

FEDRA.

Nieba! jakże rozpocznę wątek opowieści?

ENONA.

Prożną obawą mojej nie zwiększaj boleści.

FEDRA.

Zemsto Wenery! gniewu okropne zapędy!
Z miłości poszły ciężkie mojej Matki błędy.

ENONA.

Zapomnij o tem, Fedro; niech wieczne milczenie,
Stłumi w przepaści wiekow to przykre wspomnienie.

FEDRA.

Aryjadno! ofiaro zjadłych ogni serca,
Umarłaś, gdzie cię odbiegł srogi przeniewierca!

ENONA.

Fedro, jakaż to rozpacz w ostatnim zapędzie,
Dziś na całą krew twoję oburzać cię będzie!

FEDRA.

Tak chce Wenus, nieszczęsną zakończę rodzinę;
Z niej ostatnia, i razem najnędzniejsza zginę.

ENONA.

Ty kochasz, Fedro!

FEDRA.

Miłość pożera mnie wściekła.

ENONA.

Ktoż jej celem?...

FEDRA.

Usłyszysz, poznasz zgrozę piekła!
Kocham: drżę; na to imie krew się w żyłach ścina;
Kocham....

ENONA.

Kogo?

FEDRA.

Znasz tego Amazonki syna?
Dla ktoregom tak długo niezbłaganą była?

ENONA.

Hipolita? o bogi!

FEDRA.

Tyś go wymieniła!

ENONA.

Nieba! trętwieję cała: o zgrozo! o zbrodni!
O rodzie opłakany! o litości godni!
O nieszczęsna podróży! okropny pobycie!
Trzebaż było spokojne powierzać ci życie!

FEDRA.

Dalej sięga, Enono, początek mej zguby:
Kiedy z synem Egeja złączyły mnie śluby;
Sądziłam, że spokojność uwieńczy je stała;
Dumnegom przeciwnika w Atenach poznała:
Płoniłam się, i bladłam, na widok młodziana,
Z pomieszania i trwogi drżałam obłąkana;
W oczach noc była, słowo na ustach skonało;
Skryty ogień przeniknął, i palił mi ciało.
Doszłam, że zgubny płomień Wenus na mnie zsyła,
Aby pewną męczarnią zbrodni dopełniła;
Chcąc ją odwrocić, modłow zasyłałam mnostwo,
I wspaniałą świątynią uczciłam jej bostwo;
Przy ołtarzach bogini, pośrod ofiar tłumu,
W ich trzewach zbłąkanego szukałam rozumu.
Słaby opor! gdzie miłość niezleczona płonie;
Daremnie na ołtarzach sama palę wonie;

Gdym błagała bogini o względy łaskawsze,
Wielbiłam Hipolita, a widząc go zawsze,
Przy ołtarzach, w kadzideł wznoszących się dymie,
Temum Bogu cześć niosła, zamilczając imie:
Kiedy przed nim stroniłam, o domiarze męki!
W twarzy Ojca widziałam Hipolita wdzięki.
Przeciw sobie nakoniec słusznie oburzona,
Mniemałam, że tę miłość nienawiść pokona;
Nieżyczliwej macochy cierpienia udaję;
By luby nieprzyjaciel opuścił te kraje;
Żądam wygnania: w tedy ustawne zaklęcia,
Wydarły go z uściskow, i z Ojca objęcia.
Odetchnęłam, Enono, gdy rzucił te progi;
W niewinności upływał dni moich czas błogi,
Powolna małżonkowi, tając bol przed wami,
Nieszczęsne jego śluby stroiłam kwiatami.
Niefortunne zabiegi! srogie przeznaczenie!
Posłuszna woli męża, staję z nim w Trezenie;
Widzę oddalonego przez siebie młodziana,
I natychmiast okropna odnawia się rana.
Już to nie jest ow ogień, nadzieją żywiony,
Lecz zabojcza trucizna nieludzkiej Dyjony.
Sprawiedliwie mej zbrodni z zgrozą nie nawidzę,
Życiem gardzę, i ogniem występnym się brzydzę.
Chciałam na progu śmierci nie obrazić chwały,
I utaić przed światem ohydne zapały:

Przemogły na mnie twoje łzy, i nalegania,
Wyznałam, nie żałuję mojego wyznania.
I ty bliską uszanuj chwilę zgonu mego,
Niechaj się skarg niesłusznych twoje usta
strzegą;
Uszanuj ją, i przestań, przestań już daremnie,
Gasnące światło życia tkliwie budzić we mnie.

WYJĄTEK

z Dzieła dramatycznego Gietego *pod tytułem:* Giec z Berlichingien z żelazną ręką. *Rozmowa między rycerzem Wajslingien, i giermkiem jego Frańciszkiem, o* Adelajdzie z Walldorf, *ktorą ten ostatni widział na dworze bamberskim.*

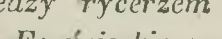

FRAŃCISZEK *wchodząc.*

Niech wam Bóg szczęści, potężny panie! tyle przynoszę pozdrowień, że nie wiem, od ktorego zacząć. Bamberg, i okolica na dziesięć mil w około, przesyłają po tysiąc razy te słowa: Niech wam Bóg szczęści!

WAJSLINGIEN.

Witaj, Frańciszku! coż nam więcej przynosisz?

FRAŃCISZEK.

Wspomnienie o was, tak jest miłe u dworu, i wszędzie, że trudno powiedzić.

WAJSLINGIEN.

To nie długo potrwa!

FRANCISZEK.

Do schyłku życia! a po śmierci jeszcze jaśniej zabłyśnie, niż mosiężne litery na grobowcu. O jak tam ubolewano nad przygodą waszą.

WAJSLINGIEN.

Coż mowił Biskup?

FRAŃCISZEK.

Z taką ciekawością dopytywał się o was, że jego pytania przeszkadzały mi w odpowiedziach. Wiedział już o waszem uwięzieniu. Ale chciał się wszystkiego dowiedzić. Pytał się z obawą, czy was nie raniono? Ja tak powiedziałem: Moj pan jest cały, zacząwszy od ostatniego końca włosa, aż do paznokcia najmniejszego palca.

WAJSLINGIEN.

A coż on mowił na moje poselstwo?

FRAŃCISZEK.

Chciał zaraz wszystko wydać, nawet giermka: i do tego jeszcze pieniądze, byle was uwolnić. Kazał wam tysiąc rzeczy oznajmić; ale ja wszystko przepomniałem. Było to długie kazanie z tych słow: Nie mogę się obejść bez twojego pana.

WAJSLINGIEN.

Musi nareście do tego przywyknąć.

FRAŃCISZEK.

Jak to rozumiecie? On powiedział, niech się śpieszy, bo wszystko czeka na niego.

WAJSLINGIEN.

Niech sobie czeka: ja nie powrocę do jego dworu.

FRAŃCISZEK.

Jak to, panie? skądże wam to przyszło do głowy? ale gdybyście wiedzieli, co ja wiem. Gdyby wam się tylko śniło o tem, com ja widział.

WAJSLINGIEN.

Cóż ci się stało?

FRAŃCISZEK.

To samo wspomnienie już mi rozum odbiera. Bamberg już nie jest Bambergiem. Anioł, w postaci, kobiety uczynił go przedsionkiem nieba.

WAJSLINGIEN.

I nic więcej?

FRAŃCISZEK.

Niech mnichem zostanę, jeżeli i wy, panie, zmysłow nie stracicie w jej obecności.

WAJSLINGIEN.

A ktoż jest ona?

FRAŃCISZEK.

Adelajda z Walldorf.

WAJSLINGIEN.

Słyszałem wiele o jej piękności.

FRAŃCISZEK.

Tylko pan słyszał? To jest tak właśnie, jakbyście mowili: widziałem muzykę. Tak jest trudno językowi skreślić jednę linijkę jej doskonałości; że oko nawet, widząc ją, nie wystarcza sobie.

WAJSLINGIEN.

Tyś widzę nie spełna zmysłow?

FRAŃCISZEK.

I to być może. Ostatnią razą, jak ją widziałem, nie więcej miałem przytomności, jak ten, co so

bie tęgo podchmieli; albo raczej mogę powiedzić, że to czułem w tej chwili, co święci przy niebieskich zjawieniach. Wszystkie moje zmysły były mocniejsze, wyższe, doskonalsze; a jednak nie mogłem użyć z nich ani jednego.

WAJSLINGIEN.

To coś nadzwyczajnego.

FRAŃCISZEK.

Kiedym był na pożegnaniu u pana zamku, siedziała przy nim, grali w szachy. Był na mnie bardzo łaskawy, podał mi rękę do pocałowania, i powiedział wiele rzeczy, ktorych nie pamiętam. Bo ja patrzyłem tylko na jego sąsiadkę; ona miała oczy wlepione w deskę, jakby myślała o ważnem posunięciu. Ach! skrycie tylko przesunąłem oczy, około jej ust i licow! O! w tenczas chciałbym na chwilę być w miejscu krola z kości słoniowej: szlachetność i uprzejmość jaśniała na jej czole. A jak czarującą była jasność jej twarzy i piersi, ktorą jeszcze zwiększały ciemne jej włosy!

WAJSLINGIEN.

Ty widzę zostałeś poetą!

FRAŃCISZEK.

O! ja czuję w tej chwili, co mieć powinien poeta; serce pełne, przepełnione jednem uczuciem! Gdy skończył przemowę, a ja się pokłoniłem, patrzała na mnie, i tak mowiła: I odemnie zaniesiesz bezimienne pozdrowienie! Powiedz mu, żeby się śpieszył, i do nas przybywał. Nowi przyjaciele czekają na niego; niech niepogardza nimi, chociaż tyle ma dawniejszych. Chciałem coś odpowiedzić; ale związek serca z językiem był zupełnie przecięty; pokłoniłem się tylko. Byłbym dał za to cały majątek, gdyby mi wolno było ucałować, choć jeden koniec jej małego paluszka! Stałem jak niemy: spadł na ziemię chłopek, ja schyliłem się po niego, i dotknąłem rąbka jej sukni; a tak mi przeszło po wszystkich członkach, że nie wiem, jak z pokoju wyszedłem.

WAJSLINGIEN.

Czy jej mąż jest także u dworu?

FRAŃCISZEK.

Już od czterech miesięcy jest wdową: dla rozerwania się w smutku, bawi w Bambergu. Zobaczycie ją, panie. Kiedy się na kogo patrzy: to tak mu jest, jakby stał na słońcu wiosennem.

WAJSLINGIEN.

Mniejszeby na mnie zrobiła wrażenie.

FRAŃCISZEK.

Słyszałem, żeś pan tak dobrze, jak zaślubiony.

WAJSLINGIEN.

Oby tak było! Moja łagodna Marja zapewni mi szczęście życia. Jej ujmująca dusza, objawia się w niebieskich oczach: biała, jak anioł niebieski, utworzony z niewinności i miłości, prowadzi moje serce do pokoju i szczęścia. Zabieraj wszystko! a potym dalej i dalej! nie chcę widzić Bamberga, chociażby nawet święty Wit osobiście mnie wzywał. (*Odchodzi*).

FRAŃCISZEK.

A niech Bóg zachowa! ja mam lepszą nadzieję. Marja jest godną kochania i piękną: jeńcowi i choremu nie mogę mieć za złe, że się w niej pokochał. W jej oczach jest pociecha, jest ujmująca melancholia, ale przy tobie! Adelajdo jest życie, ogień, wesołość!— Ja byłbym! ja jestem głupcem. Szaleńcem mnie zrobiło jedno jej spojrzenie. Mój pan musi iść do niej!.. Ja muszę iść do niej! a wtenczas albo mi jej widok przywroci rozsądek, albo oszaleję na piękne.

STRÓŻ
NOCNY,

KROTOFILA W JEDNYM AKCIE,

przerobiona z Niemieckiego.

O S O B Y.

TOBIJASZ Kukułka, stroż nocny.
ROZIA, jego krewna.
GRYZMOŁKA, } Dependenci.
WIATROWICZ, }

Pan Rura,
Pan Tuz,
Pan Pirbancki, elegant,
Pan Zgryzota, człowiek osłabionych nerwow,
Pan Bajtała,
Panna Zielidełka, elegantka,
Pan Kopowicz, Burmistrz,
Pan Derus, kapitalista, Schwiarz,
Pan Fant, skąpiec,
Czesnek Żydek,

} SĄSIEDZI Stroża nocnego.

Teatr wystawia rynek małego miasta śląskiego. W środku widowni, w tyle, studnia z dachem, na lewo dom stroża nocnego, na prawo dom Burmistrza.

STRÓŻ NOCNY.

ODDZIAŁ I.

KUKUŁKA, *dobrze podpiły, z trąbą, i* ROZIA, *siedzą na ławie przed domem.*

KUKUŁKA.

Ej, co tam! co tam! prożno łamię głowę!
Już, Roziu, wszystko, dalipan, skończone!
Nie będę zważał na figlarną mowę,
Jakem Kukułka, biorę cię za żonę.

ROZIA.

Otoż nic z tego, mówicie daremnie,
Jakem Rozia, mieć żony nie będziecie ze mnie:
I choćby mi na zawsze zostało panieństwo;
Wolę być starą panną, niż takie małżeństwo.

KUKUŁKA.

Dziewczyno, widzę, że się gniewać muszę,
Patrz tylko na mnie, aj, do kręcset pałek!
Czego ty chcesz ode mnie? przysięgam na duszę,
Nie przesadzi mnie pewno żaden młody śmiałek.

ROZIA.

Mąż moj być musi młody, ładny, biegać kłusem,
Ma mieć nielada głowę, dowcip, obyczaje;
Chcę być kochaną, brzydzę się przymusem;
W tenczas rękę i serce z ochotą oddaję.

KUKUŁKA.

Wszystko to fraszki, do stokroć tysięcy!
Jezeli Rozia nie wymaga więcej.
Znam cię, filutko, ty udajesz snadnie:
O! ty się rozkochałaś! tak! we mnie! szkaradnie.

ROZIA.

Strzelił bez prochu! Mowię po raz trzeci,
I ostatni, że nie chcę, i nie chcę waszeci.

KUKUŁKA.

Ej! co tam! będziesz moją, tak, będziesz, niech zginę;
Tylko tak nie patrz na mnie, jak żyd na słoninę.
Od wszystkich za ten upor jesteś już ganioną.
Boć ja to przecie siedzę w miejskiej radzie:
I choć mi wielu było na zawadzie,
Chociaż były intrygi, i to jakie jeszcze!
Mnie strożem nocnym, tak, tak, mnie zrobiono.
Ja też za to po nocach, jak szalony, wrzeszczę,

Aż się pan Burmistrz gniewa, że go budzę
czasem;
Dla tego, abym z mniejszym obchodził hałasem,
Kazał mi zwolna trąbić: a ja trąbię tęgo.

(*Pokazuje na gardło*).

Co teraz, to mnie przecie nie nazwiesz mitręgą;
A jeśli mi nie wierzysz, to, na moję duszę,
Dmuchnę w trąbę tak walnie, że aż cię zagłuszę.

ROZIA (*zatrzymuje go*).

Przepraszam, tegom się już dosyć nasłuchała;
Alboż ja nie wiem, jaki z was krzykała?
Ale chociaż swoj urząd godnie piastujecie:
Na mężaście niezdatni, być nim nie możecie.

(*Wpatruje się w niego*).

Ale co wam takiego, żeście w tym humorze?

KUKUŁKA.

Bo dzisiaj, widzisz, parno jest na dworze.
A przytym, widzisz, ten... ten mnie zobaczył,
Ten... ten, co go znasz, Roziu, z tymem się
uraczył;
Ale i inni na rzeczy się znali:
Piło się gracko..... i basta..... i basta.

Częstowano mnie hojnie, urzędnika miasta:
Kwaterka, kwatereczka, kwarta... i tam dalej.
A teraz bierz mnie z duszą, bierz, moję ty
złoto.

ROZIA.

Lepiej nie występujcie ze swoją ochotą.

KUKUŁKA.

Wiem ja, co pannię Rozi zajechało w głowę:
U nieboszki szynkarki wieczory balowe:
Choć to stryjeczna siostra, Panie świeć jej
duszyę!
Ale mężowi swemu zawrzeszczała uszy:
Otoż on, co w spodnicy, jak nie pyszny, cho-
dził,
(I kto nie chciał, to za nos z żoneczką go wodził),
Patrzał przez szpary, na was, filutki i franty;
A tymczasem się w domu roiły *liganty*,
Słyszałem, gdyście z niemi po frajcuzku cięły,
Aż mi włosy ze strachu na głowie stanęły:
Bo to i *bon dziur magda*, i *koma wuł musy*:
I licho tam spamięta, jakiś język kusy.

ROZIA.

Tylko proszę mą ciotkę zawsze *respektować*,
Żebym się nie musiała okropnie *sfaszować*.

KUKUŁKA.

Fasuj się i nie fasuj, w sadź się nawet w faskę;
Musisz być moją żoną, i mieć to za łaskę.
Co mi ta znowu prawi? czy taki szacunek,
Za ciężki opiekuna i ojca frasunek?
A ten opiekun, proszę, co to jest za człowiek?
Jak wół w pracy, od rana do zawarcia powiek:
A że sobie nie głupi, dowiódł w innym czasie;
Oho! pięć lat z okiadem siedział w jednej klasie:
Wszystko szło, jak po mydle, i wszystko jak z płatka;
Tylko mnie czasem osłem nazywała Matka:
Ale trojkąt przeklęty nie chciał do łba wjechać;
I dla tego musiałem nauki zaniechać.

ROZIA.

Szkoda, i wielka szkoda, tak otwartej głowy.

KUKUŁKA.

Ja też na tem nie przestał: *prospekt* był gotowy,
Cóż to u krocset pałek! pomyślałem sobie;
Kto wie, czy jeszcze w świecie *kurjera* nie zrobię?
Ojciec zawsze a zawsze za uszami zrzędził;
Żem nieuk, żem ladaco, prożniak, chlebożerca;

Wreście przez kij przesadził, i z domu wypędził.
Żal mi było, to prawda: lecz nabrałem serca;
Poszedłem do stolicy: a żem nie był smykiem;
Uczyniłem w zdatności nagle postęp wielki:
Najprzod mi polecono myć garki, rądelki,
Potym spotkał i awans, zostałem kuchcikiem!

ROZIA.

Czemużeście na zawsze w kuchni nie zostali;
Było pilnować zrazow i przyprawiać sosy.

KUKUŁKA.

Żołnierkę przeznaczyły nieszczęśliwe losy:
Jak się to stało, opowiem ci dalej.

ROŻIA.

Słucham!—

KUKUŁKA.

Otoż, kochanko, nie tylko rosoły,
Sosy, bigosy, kotlety, pieczenie,
Zajmowały Kukułki codzienne mozoły:
O! miałem ja ważniejsze jeszcze zatrudnienie.
Nasz młody panicz płatał figle w nocy;
A ja mu wszędzie byłem do pomocy.

Raz (dotąd mi ze strachem to się przypomina!)
Wszedł oknem do blondynki, o zimowej porze;
Mogła być wtedy dwunasta godzina.
Jam dzwonił przy drabinie zębami na dworze:
A wtym nadszedł płaszcz biały, zapytał mnie
z grozą:
Kto jestem? wziął za piersi, i pogroził kozą,
Jeśli nie wydam złodziejskiej roboty.
Do wody z chlebem suchym nie miałem ochoty;
A zatym w dobrym, i zgodnym sposobie,
Otwarte wyznanie robię:
„Że moj panicz odwiedza damę pokryjomu;
„I że jej męża pewno nie ma w domu".
Na to się po diabelsku rozśmiał ten jegomość;
Dał mi łapowe na pierwszą znajomość;
I wyrzekł do mnie kilka słow z cicha:
„Panu uciechę sprawisz niespodzianie;
„Tylko drabinę potrzymaj, kochanie.
Oj! nawarzyłżem paniczowi licha.
Mąż po drabinie do żony powrocił,
I bez litości za drzwi go wyrzucił.

ROZIA.

Fi! grubijanin.

KUKUŁKA.

Prawda! a ja za to,
Byłem najgorszą uczczony zapłatą;

Na moję skurę kije niby grad leciały,
A grzbiet, jak sadze, wyglądał cały.
Wreście przeklęta kuchenna kabała,
Na cztery wiatry stamtąd mnie wygnała.

ROZIA.

Tak tedy pan Kukułka przystał do żołnierzy?

KUKUŁKA.

O nieszczęśliwe rzemiosło rycerzy!
Miasto pieczeń baranią, miałem na rożenku,
Żywcem obracać ludzi, ciąć szablą, jak brzytwą;
Ale że konających nie mogłbym znieść jęku;
Dostałem febry przed bitwą;
I tego, co to zwykle po senesie bywa;
Ale ta wojna, wojna nieszczęśliwa,
Takiej kontuzji śmiałkow czasami nabawia;
I bole w żołądku sprawia.
Zwyczajnie mięką posiadam naturę;
A przecież mi i bić się byłoby przyjemnie;
Tylko, że tam się obeszło bezemnie.
Kapitan mi powiedział, żem wielki tchorz, baba;
I na kuracją przyrzekł wygarbować skurę;
Ale, że moja skura była na to słaba,
Dopadłszy cichym pęchem kapitańskiej szkapy,
Szczęśliwiem drapnął, przez bory, przez
chrapy;

Gdym się zgłosił na urząd magistrat, szanowny,
Uczcił mój rozum gruntowny:
I odtąd chleb mój pożywam spokojnie,
Za usługi oddane krajowi na wojnie:
Ale między Burmistrzem, i mną, mały przedział;
Wszedł na urząd, choć w bitwie cicho w rowie siedział.
Teraz moja posada żywi nas oboje;
Przeto miej rozum, kochanie moje;

(Wstaje).

Poczciwego Tobijasza
Weź za męża, w imie Boże;
Weź Kukułeczkę, niechaj ci kuka;
Weź z duszą z ciałem, jak stoi.
A co? pierniczku, serduszko ci puka?
Dobra, kwiateczku, dobra jest nasza.

RÓZIA.

Nic nie pomoże, nic nie pomoże.
Niech się wam ręki odechce mojej.

(Z cicha, oglądając się.)

Mojego Jozia jeszcze tu ni ma.

KUKUŁKA.

Czemu, robaczku, tak strzelasz oczyma?

ROZIA.

Co wam do tego?

KUKUŁKA.

To, to, moja duszko,
Że cię strzedz muszę, jak oka w głowie.

RÓZIA.

Że to wiernie pełnicie, nieprzyjaciel powie:
Bo, czy się z boku uśmichnę,
Czy oko zmrużę, czy kichnę;
Zaraz mi w kwaśnym jesteśsie sosie,
Jakby wam mucha usiadła na nosie.
A czy to we dnie, czy się kładę w łożko,
Nigdy mnie wasze nie spuszczacie z oka.
We dnie pokoju ni mam,
W nocy u drzwi leżycie, strzegąc mnie i miasta;
Jestem najnieszczęśliwsza na świecie niewiasta;
I dłużej z wami pewno nie wytrzymam.

(*Udaje płacz, zasłaniając oczy chustką*)

KUKUŁKA.

A czy znasz, pupko, historją smoka?
Co to pilnował w jaskini złota?

ROZIA.

Dajcie mi pokoj, z historją waszą.

Wszak słyszałaś, że smokiem dzieci małe
straszą?
Ale nie na tem koniec; wzięła mnie ochota,
Powiedzić o tym smoku, otoż tak to było:

(*W ciągu opowiadania obraca głowę na wszystkie strony*).

Był to kawaler.... kochał się w pannie....
Chodził do niej nieustannie....
I dręczył ją i męczył....
Aż ich diabeł zaręczył.....
I dał im w posag złota beczkę całą....
Kawalerowi raz się zachciało...
Zachciało... duszko.... opuścić kochankę...
Złotko porwać na hulankę....
Ale diabeł frant wielki... poznał pismo nosem;
Z ostatnim złapał go trzosem....
Zamienił w smoka.... porwał panienkę....
I taką mu zadał mękę....
Że i we dnie, i w nocy, jak dobrze wiem o tem,
Pilnuje beczki ze złotem:
Otoż tyś, pupko, złotem; a ja... smokiem.....
I dla tego cię zawsze muszę mieć pod bokiem.

(*Chce ją uściskać, Rozia usuwa się od niego*.)

Procz tego jesteś i moją krewniaczką;
Przeto cię trzeba pilnować, sobaczko;
Bo twoja cnotka bardzo mi drogą.

(*Pogląda na niebo*).

A, już się zmierzchać zaczyna,
Musi być poźna godzina:
A tu się wilki zabłąkać mogą,
Co mają chrapkę na takie jagniątka,
Idź, idź do kołowrotka: dobra z ciebie prządka.
Jużeś mi dawno nic nie robiła.

(*Wprowadza ją do domu*).

Dalej, do domu, dalej, moja miła.

ROŻIA.

Idę, już, idę! (*do siebie*) ta najlepsza rada:
Aby nie miał podejrzeń, słuchać go wypada;
Ale podstęp niedługo wszystko przysposobi,
Tam, gdzie początek miłość sama zrobi.

(*Odchodzi do domu Kukułki*).

ODDZIAŁ II.

KUKUŁKA (*sam*).

Pilnować ładne dziewczęta,
Jeszcze piętnastki, to przytrudna sztuka:

Aj, to powinność przeklęta;
Ale zje diabła, kto mnie oszuka!
Oho! mam rozum, i poczuję z dala,
Te młode pałki, z miłosnym zapałem:
Niechaj, się, jak chce, ktory, z dowcipem przechwala,
Nie bito i mnie w ciemie, znam czarne na białem.

(Odchodzi do domu).

ODDZIAŁ III.

GRYZMOŁKA *(sam).*

Ztoż nieznośny smok mojej beli,
Co za nią chodzi, jak cień za ciałem.
Jakiż mnie bożek dzisiaj ośmieli?
Może kreśliła miłosne wyznanie;
Ale jak do mnie bilet się dostanie?
Mowią, że kochać, to rzecz jest mała;
A mnie się ona kością w gardle stała.
Tylem nanosił plik za patronem;
Tylem się nagryzmolił pozwow, i wyrokow;
A przecie jestem w miłości gawronem,
Nie wiem, jak użyć stanowczych krokow.
Kodex pryncypałowi cytuję z pamięci;
Znam praw dzienniki, i inne księgi,
Aż mi się nieraz i we łbie zakręci;

Ale w miłości, tom widzę nie tęgi;
Oj, co nie to nie, żak ze mnie prawdziwy:
Student mnie zakasuje, jakem dependentem;
A przecie i ja byłem studentem;
Chociaż to wcale nie dziwy;
Można wysiedzić mądrości stołek,
A przed kobietą stanąć jak kołek.
Teraz mi trzeba w pomoc Wiatrowicza;
Jemu koncepta roją się jak z bicza:
Ale go dawno nie ma w tej cichej ustroni,
On po świecie wiatry goni:
Poczciwy to kolega, rozumu nie kupi,
On mnie serdecznie kochał, jak swojego brata;
Mawiał: kochany Gryzmołciu, tyś głupi,
Ty się nie zdałeś do świata.
Zgadł, zgadł, dalibog, poznaniem bystrem:
To chłopiec z boskiem objęciem;
Ja musiałem się rodzić chyba pod cielęciem;
Jam wart być gapiem, a on ministrem.

(*Tu Wiatrowicz, za widownią, śmieje się głośno*).

A to ki diabeł zaczął ten akompanjament?

(*Z gniewem*).

Czekaj! czekaj! po śmiechu będziesz miał i lament.

(*Wiatrowicz śmieje się jeszcze mocniej, Gryzmołka znajduje kij, i z gniewem idzie ku niemu*).

Teraz ci może śmiać się odechce,
Jak cię tym kijem po bokach załechcę;

(Wpada na Wiatrowicza, i obala się na ziemię: wtym zaraz Wiatrowicz zatyka mu usta).

ODDZIAŁ IV.

WIARTOWICZ. GRYZMOŻKA.

WIATROWICZ.

Ciszej, djable wenecki!

GRYZMOŻKA. *(wstaje).*

Wszelki duch!... a to co!
Skąd się ty wziąłeś! czy z nieba spadłeś?

WIATROWICZ *(śmiejąc się).*

Dalibog zgadłeś, przecudownie zgadłeś.

(Spokojniej).

Ktoż wie, jak czyje losy się obrocą?
Po długiej nie bytności od mego wyjazdu,

(Pokazuje na nogi, i na kij w ręku)

Znowu mnie *fatum* wraca ojczystemu gniazdu.
Przez lat siedem los miotał życia mego nawą;

Byłem na ławie, byłem i pod ławą;
Zwyczajnie, jak się trafiło,
I w nieszczęściu, i swobodach;
Ale, że człowiek był stałym w przygodach;
Wspomnić o nich zawsze miło.
Tylko się z tem przed nikiem,
Oprocz przed tobą, bracie, nie pochwalę;
Że jakem wyszedł, *comme il faut*, wietrzykiem,
Tak i po długim czasu przedziale,
Ani o jotę mniejszy do was powróciłem.
Tu się podobno dłużej już zagrzeją
Omnia mea.... leciuchne manatki;
Wszystko stare; i tylko grob nowy mej Matki!
Cóż to? łzy na mem obliczu?
Oj! oj, wstydź się, Wiatrowiczu!
Puszka Pandory została z nadzieją:
Tak i w mem sercu zostało,
Lube przeszłości wspomnienie.
Przy swobodnem serca biciu,
Po lekkiem, wesołem życiu,
Lekko się podrożowało.
Nigdym się nie gryzł, w gorę nie poglądał;
Nigdym niczego nad możność nie żądał.
Wszędy mi błogie były słoneczne promienie;
Tak, choć niekiedy zorze szczęścia gasną,
Znow się wszystko wyjaśnia, (*Pokazuje na serce*), jeźli tu jest jasno;

A kto w swobodzie serca żadnej nie zna zmiany,
Ten jest towarzysz szczęścia pożądany.

GRYZMOŁKA *ściska Wiatrowicza.*

Niech cię uściskam, braciszku kochany.

(*Ściskają się nawzajem*).

WIATROWICZ.

Ale tyś mi, koleżko, smutny i ponury?
Patrzysz na mnie, jak z pod chmury.

GRYZMOŁKA.

Kocham się, i na zaboj!

WIATROWICZ (*śmieje się*).

Ty, ty, Filistynie,
Ty się kochasz?— ty kochasz?— a w ktorej dziewczynie?

GRYZMOŁKA.

Wszak znałeś organistę, znałeś Dusimiecha?

WIATROWICZ.

Każdej szynkowni jedyna pociecha;
Co to i flaszki porządnie wytrząsał;
I na moje psie figle nieraz się był dąsał.

GRYZMOŁKA.

On tedy umarł, a nad corką jego,
Opuszczoną sierotą, Ojciec się zlitował:
Będąc zmarłego kumem, i kolegą,
Wziął ją do siebie, i ze muą wychował:
Najprzod się zbliżyliśmy sercami powoli;
Dalej wyraźne bylo oświadczenie;
Lecz o tem inną razą.— Teraz, moj kochany,
Powiedz mi, jakie wyrokow skinienie,
Sprowadza ciebie w ojczyste ściany;
Powiedz mi, jakiej doświadczyłeś doli,
Będąc tak długo od nas niewidziany?

(*Zaczyna się sciemnać*).

WIATROWICZ.

Przypomnij sobie, dobry przyjacielu;
Żem tu wiodł życie prawie bez celu;
Że mając serce dla mnie zawsze czułe,
Porządnie mi wytarłeś nieraz kapitułę;
Ale coż to pomogło? rzucaj groch na ścianę:
Tak właśnie były odemnie słuchane,
Twoje dzielne reprymendy;
Codzień figle, jak ulał, codzień nowe błędy,
Codzień szust, jak zamowił, codzień psoty
nowe,
Żebyś ich nie opisał i na skorze wolej
Nie dla mnie były prace naukowe;

Co tydzień odwiedzałem kochane więzienie.
W takiej swobodzie minęły trzy lata;
A wtym nasz dziekan zszedł z tego świata;
Wowczas to przyszła na mnie najsmutniejsza kolej;
Chciało moje przeznaczenie,
Żebym niosł biret: rzuć na ogień olej!
Czarni jak kruki, szliśmy sobie w tyle,
Za poważną osobą, ktora szła na przodzie.
Jakoś mi nudno upływały chwile,
Z moim humorem nie byłem w zgodzie.
Aha! pomyślałem sobie,
Trzeba tu siebie, i wszystkich rozśmieszyć,
Po tak bolesnej stracie pocieszyć.
Licho mnie kusi; przy samym grobie,
Urznąłem rektorowi harbajtel z włosami,
Wszczął się śmiech głośny pomiędzy nami;
Kto zrobił? naturalnie, że ja, nie kto inny;
A że już na mnie ząbki oddawna ostrzono;
Więc szanownych sędziow grono,
Mocą strasznego wyroku,
Przeznaczyło mi kozę, i to na poł roku.
Potym, jak niepoprawny, a bez końca winny,
Relegowany zostałem na zawsze.

GRYZMOŁKA.

Relegowany? biedny przyjacielu!

WIATROWICZ.

Oj! co nie, to nie, losy łaskawsze
Zajaśniały mi wreście; po kłopotach wielu,
Po dniach pustelniczej grozy,
Jednym się skokiem wydobyłem z kozy.
Nie było co pakować; a więc i wtym względzie,
Nie miałem wcale kłopotow;
Wziąwszy kij w rękę, w podroż byłem gotow,
Lekki jak piorko, i bezpieczny wszędzie.
Krotko mowiąc, wesoło puściłem się w drogę;
Ale i tego zataić nie mogę,
Że miałem często djabelne mozoły,
Jak zwyczajnie każdy goły.
Aż nareście,
W pewnem mieście
Kapitalisty poznało się corkę,
I taką człowiek spłatał awanturkę;
Że Kasia wkrotce i narzeczoną,
I najszczęśliwszą moją była żoną,
Do usług twoich Wiatrowiczową.

GRYZMOŁKA.

Pustaku, przestań drwić głową:
Jak mniemam, teraz już przecie,
Nie będziesz gonił wiatrow po świecie.

WIATROWICZ.

Jak zechcą bogi?— Ale ty z kolei,
Musisz mi także opowiedzić wiernie,
Jakieś w życiu napotkał swobody i ciernie.

GRYZMOŁKA.

Nigdy ja nie wzdychałem do wielkich nadziei;
A przeto moj dziejopis,
Krotki i bardzo krotki ułożyłby opis,
Nieromansowy, niepłodny w przypadki;
Bom się puścił najdalej milę za rogatki.
Kocham Rozię, i ona kocha mnie nawzajem:
Rozkochanych zwyczajem,
Co to już myślą, że w dziesiątem niebie,
Pełne— ach!— przebog! niestety!
Pisywaliśmy do siebie,
Najczulsze listy, świstki, i bilety.
Wtym chorągiewka mego przeznaczenia,
Po śmierci Ojca nagle się zmienia:
Poki żył dobry Ojciec, Rozia u nas była,
Potym ją przyjął do siebie krewny,
Stary Kukułka; a tak moja miła,
Z ktorą się żenić byłem tak pewny,
Jak, że w tej chwili noc czarna, jak smoła,
Dostała się do domu czujnego sokoła;
Lecz i to mało, nieznośnego smoka,
Co jej nie spuści na godzinę z oka.

Ta najpiękniejsza corka Ewina,
Dowcipna, miła, rozsądna dziewczyna,
Może sama wybierać, ma lata skończone;
Ale stary opiekun chce ją mieć za żonę.
Już mnie to samo wtrąca do grobu:
Nie ma innego sposobu;
Wykraść ją muszę, czy we dnie, czy w nocy;
A twoj mi płodny jenjusz dostarczy pomocy.

WIATROWICZ. *(śmiejąc się).*

Stary opiekun, szalona głowa,
Jemu się żenić? to mi się podoba!
On pierwsza, Rozia druga, ty trzecia osoba,
Patrzaj, komedja gotowa;
A! zapomniałem, że jest i czwarta,
Ja twoj przyjaciel, ja notabene.
Wkrotce zabawną rozpoczniemy scenę.
Jakbyś wypuścił na zająca charta:
W to mi graj, moj braciszku, ha! ha! w to
jedynie.
I włos ci z głowy nie zginie:
Takiego ducha damy jegomości,
Że się na wieki odrzeknie miłości;
Będzie o sto mil od buzi młodej
Zmykał, jak diabeł od święconej wody.

GRYZMOŁKA.

Nie traćmy czasu, bo drogi.

WIATROWICZ

Nim do dzieła wezwiemy opiekuńcze bogi,
Powiedz mi, wie też Rozia o twoim zamyśle?

GRYZMOŁKA.

Choć jej pilnuje tak ściśle,
Dzisiaj około świtania,
Wrzuciłem do jej mieszkania
List napełniony memi westchnieniami:

(*Płaczliwym tonem*)

A ona— ona— zalała się łzami.

WIATROWICZ *(śmiejąc się)*.

Ktore twej afekt gorący osuszył:
Pewnieś do tego listu poruszył,
Jedno, drugie i trzecie, ach! przebog! niestety!
Chociaż to prawie zero dla kobiety.
Ale nim stary weźmie na poty;
Odpowiedz Rozi wiedzić nam wypada.

GRYZMOŁKA.

Wyborna rada! wyborna rada!
Oj! z ciebie głowa nie do pozłoty!
Ale to sęk nielada,
Jak ją otrzymać?

WIATROWICZ.

Stawajmy na czaty,
W takim rzemiośle biegły jestem wcale,
Bieglejszy jak przed laty;
Dziewczęta zaś nocnej pory
Widzą arcy doskonale;
A zwłaszcza takie, jak my upiory.
Zobaczysz, jak nam sama wszystko przysposobi.

(*Zbliżają się do okna, w ktorem teraz właśnie pokazuje się światło*).

GRYZMOŁKA.

Patrzaj! to Rozia pończoszkę robi.

WIATROWICZ.

Masz, jak widzę, oczy kocie. (*Patrzy w okno Kukułki*).
Aj! na moje sumienie,
To miluchne stworzenie!

GRYZMOŁKA.

A jaki rozum przy cnocie! (*Patrzy w okno Kukułki*).
Kukułka teraz obraca się tyłem.

WIATROWICZ.

A co, braciszku, czy nie mowiłem?
Nic nie miarkuje, niech mnie piorun trzaśnie!
Takiego gapia potrzeba nam właśnie.

GRYZMOŁKA.

Rozia pogląda,— zlękła się nieco.

WIATROWICZ.

Oto masz całą przebiegłość kobiecą!
Bogu chwała,
Już nas poznała.

GRYZMOŁKA.

Należy sobie zapewnić ukrycie.

WIATROWICZ.

A to po co? wszak rzeczy idą wyśmienicie?

GRYZMOŁKA.

Nie mam kurażu, tracę dziś głowę.

WIATROWICZ.

Znowu historje nowe;
Ja ci pomogę, tylko sza! cicho!
Niechaj śpi licho. (*Patrzy w okno Kukułki*).

Cudne dziewczę, jak znaki dowcipnie mi daje;
Co przez nie mam rozumić, wybornie poznaję.

GRYZMOŁKA.

Cóż tedy?

WIATROWICZ.

Patrz, mój drogi, jak starego pieści!
O przenikliwy rodzie niewieści!
W całym świecie głupszego nie widziałem draba;
Przylepiła mu list do harcaba.

GRYZMOŁKA.

List? a to śmiesznie.

WIATROWICZ.

Kobiety! kobiety!
Wyście w tym względzie nad wszelkie zalety!

GRYZMOŁKA *(patrzy w okno)*.

Znowu znak!

WIATROWICZ.

(śmieje się, patrząc w okno).

Przednio! z śmiechu kolkaby mnie
wzięła.

(Pukając do drzwi Kukułki).

Kukułko! Kukułeczko! Kuku— Kukułeczko!
Proszę do siebie na jedno słoweczko!

GRYZMOŁKA.

Coż ci przyszło do głowy?
Jaki znowu koncept nowy.

WIATROWICZ.

Bądź mi spokojny, plan już gotowy,
Padła kość losu! dalej do dzieła!

ODDZIAŁ V.

DAWNI I KUKUŁKA,

(z listem na harcabie wychodzi z domu).

WIATROWICZ,

(z cicha, pokazując na list przy harcabie).

Dalej, Gryzmołciu, uważaj bacznie,
Otworz zasłonę, komedja się zacznie.

KUKUŁKA.

Czemże mam służyć, moi panowie?

WIATROWICZ,

(odbierając list od Gryzmołki, ktory ten zdjął z harcaba Kukułki).

Właśnie słodki bilecik dostaliśmy oba,
Ktory przysłała miluchna osoba:
A takie rzeczy ceni się, jak złoto,
I przegląda z ochotą.
Znamy oddawna pana Tobijasza,
Jako poczciwe, i wierne stworzenie.

(*Tobijasz kłania się bardzo nisko, i wyciąga rękę, widząc, że Wiatrowicz sięga do kieszeni.*)

Więc się spuścimy na jego milczenie;
A zaś nagroda, to powinność nasza.

(*Daje Kukułce pieniądze*).

KUKUŁKA (*z niskim ukłonem*).

Umiem, jak baran, milczyć, to mojem rzemiosłem;
O! w takim razie nie jestem ja osłem:
Nawet, gdzie wolno mowić, tam Kukułka niemy.

WIATROWICZ.

(*klepie go mocno w ramie*).

Słusznie, Kukułciu, nie jesz marnie chleba;
Ale nam światła potrzeba.
Zawiń się, przynieś; resztę ci powiemy.

KUKUŁKA *(wchodząc do domu).*

Zaraz, zaraz.

WIATROWICZ. *do Gryzmołki.*

Co myślisz? koncept wyśmienity?
Wiatrowicz w ciemie nie bity:
Pierwsze poszło wybornie, list mamy.

GRYZMOŁKA.

Kolego!
Jeszcze nic nie ma pewnego;
Bądź ostrożny, inaczej wszystko pojdzie krzywo.

WIATROWICZ.

Niecierpliwość mnie bierze, do stokroć tysięcy!
Czy na początek można żądać więcej?
Z mego planu obfite przewiduję żniwo.
Mam go, mam, jak mysz, w łapce; sto przeciw jednemu,
Że się mi nie wyśliźnie.

KUKUŁKA

(wychodzi z domu, z latarnią zapaloną).

Tu! moi panowie,

WIATROWICZ *do Kukułki.*

A więc czytajmy! świeźże nam blisko.

GRYZMOŁKA *(z cicha do Wiatrowicza).*

Śliczną wiadomość objawisz jemu!

WIATROWICZ.

Co w twojej głowie! co w twojej głowie!
Pan Tobijasz Kukułka walne człowieczysko,
Bywał mym powiernikiem, i teraz nim będzie.

KUKUŁKA.

Niech pan obawy nie ma w żadnym względzie.
Nie prawda, panie,
Wszak nie dziś nasze poznanie?

WIATROWICZ.

Zobaczmy, co nam pisze ten ładny buziaczek?
Oho! dowcipny to szpaczek.
Panie Kukułko, przybliżno latarnię.

GRYZMOŁKA *(z cicha).*

Czy cię bies kusi? wszystko więc marnie....

WIATROWICZ *(z cicha).*

Ale dajże nam pokoj! więcej ani słowa.

(Czyta głośno)

„Drogi, poczciwy Karolu!
„Na los wszelaki już jestem gotowa!

GRYŹMOŁKA.

Cudna dziewczyna!

WIATROWICZ *(dalej czytając).*

„Stary, i nieznośny krewny,
„Jest prawie mej ręki pewny;
„Ale nic z tego!

KUKUŁKA.

Już dudek w polu.

WIATROWICZ.

Dobra uwaga; o! znam ja Kukułkę.

(Dalej czytając)

„Jemu się żenić?

KUKUŁKA.

Jaki mi ciura!
On myśli, że to jedno, co zjeść z masłem bułkę.

WIATROWICZ *do Kukułki.*

Najsłuszniejsza w świecie bura.

(Dalej czytając).

„Jeżeli niebo nie zrządzi inaczej,
„Wolę się życia pozbawić w rozpaczy.
Coż wy, Tobijaszu, na to?

KUKUŁKA.

Co ja na to? ja niby?
Marsz z nim na grzyby!
On chciałby widzę być bestją rogatą.
Nie masz większej radości, wiem to z doświadczenia,
Jak staremu głupcowi, co się w młodej kocha,
I dla ktorego miłość macocha,
Nos na dwa łokcie przyprawić, ot taki.
Chociaż go nie znam z imienia;
Ale, że się tak obchodzi z krewną,
Musi z niego być pewno,
Jakie straszydło na ptaki.

WIATROWICZ.

O! naturalnie, że głupi, jak cielę;
On wie to wszystko, i nic nie miarkuje.

KUKUŁKA *(śmiejąc się)*.

Nic nie miarkuje?

WIATROWICZ.

A tak, ani joty!

KUKUŁKA.

To już, o zakład, głowa do pozłoty.

WIATROWICZ.

Warjat.

KUKUŁKA.

Osieł.

WIATROWICZ.

Ciemięga.

KUKUŁKA.

Wszystkim sławę psuje.

WIATROWICZ.

On jak pomiotło, ona kwiatek róży

KUKUŁKA.

Nie, nie, już tego nie można znieść dłużej.

WIATROWICZ.

Takie jest i nasze zdanie.

KUKUŁKA.

Nie traćmy czasu, kochany panie.
A jeżeli Kukułka w czem przyda się z głową,
To z serca wszelkich starań dołoży w usłudze;
O! ja lubię prowadzić interesa cudze.

WIATROWICZ.

Przyjmujemy z ochotą, ale słowo!

KUKUŁKA *(daje rękę).*

Słowo!

WIATROWICZ *do Gryzmołki.*

Donieś jej, żeśmy wszelką uprzątli zawadę;
Że sobie damy niezawodnie radę;
Że wkrotce skutek może zobaczyć:
Trzeba jej nawet czas pewny oznaczyć.
Oto masz papier, Kukułka poświeci,
Twoje westchnienie pewno ją doleci.
Nie spowiadaj się długo, porzuć ceregiele;
Trzy wiersze, to świat, cztery, już zawiele.

(Do Kukułki).

O plecy do pisania prosimy waszeci.

(Gryzmołka pisze na plecach Kukułki, a potym przyczepia mu bilet do harcaba).

Teraz jeszcze, Kukułko, jedno polecenie:
Tam naprzeciwko mieszka prześliczne stworzenie.

(Pokazuje na dom Burmistrza).

Anielskie dziewczę, widziałem ją wczora,
Jak na mnie z okna patrzyła:
Wysmukła, czarująca, a jak nimfa miła.
Jutro jej urodziny; taka właśnie pora,
Do moich planow arcystosowna.
Coż mej radości na świecie wyrowna!

Jeźli jej piękne kwiaty postawię dziś w nocy;
A ona w oknie zobaczy je z rana?
Wszakże mi, Kukułeczko, udzielisz pomocy?

KUKUŁKA.

Z największą chęcią zrobię to dla pana;
I w okamgnieniu drabinę założę.

WIATROWICZ.

A ja tymczasem przygotuję kwiaty:
Czyliż myśl dowcipniejsza nad moję być może?

KUKUŁKA.

O wyśmienita! i bystra zakaty!

WIATROWICZ.

Choćbym kark złamał, tam się dostanę.
Jakież to dla mnie szczęście niesłychane!
Już się sciemniło; więc dłużej nie bawię,
I za chwilę tu się stawię.

(*Zcicha do Gryzmołki*).

Powiedz mi, czy list gotowy?

GRYZMOŁKA (*z cicha*).

Oto mu wisi przy włosach.

WIATROWICZ.

Wybornie! Do widzenia z panem Tobijaszem;
Proszę pamiętać o bostwie naszem.

KUKUŁKA.

Oho! nie mam ja od parady głowy;
Bądź pan spokojny, myśl o swoich losach.

(*Odchodzi do domu*).

ODDZIAŁ VI.

WIATROWICZ. GRYZMOŁKA.

WIATROWICZ.

Jakby z płatka wywinął, rzecz idzie dokładnie;
Dziewczę twojem dziś wieczor, lis w łapkę nam wpadnie.
Musimy Kukułeczkę napędzić do kojca;
Ale się sam zapraszam na ucztę weselną;
I przy pierwszym potomku za chrzestnego Ojca.

GRYZMOŁKA.

Winienem ci, braciszku, wdzięczność nieśmiertelną;
O tem i we śnie marzyć nie śmiałem.

Ach! żadnych granic nie zna szczęście moje;
Los dwojga ludzi jest twoim udziałem.

WIATROWICZ.

Tak piękny skutek wart zabiegu mego.
Teraz, kochany kolego,
Na piwko nas do siebie prosi Łabędź biały;
Gdzie krotko, węzłowato, powiem ci plan cały,
Ktory na zawsze złączy was oboje.
Los moj, zaręczam, nie będzie uparty;
Amor tasuje nam karty;
A serce Rozi jest w nich kozerą.

ODDZIAŁ VII.

KUKUŁKA

(*w sukni stroża nocnego, wychodzi z domu, i drzwi zamyka za sobą*).

Gratkę nie lada schwytałem dopiero;
Za to niech Rozia pozna moję łaskę;
Kupię jej bułkę, i smaczną kiełbaskę.
Mam już drabinę; o! pod tym względem
Zawsze pomagać należy
Rozkochanej młodzieży;
Byle się to zgadzało z sercem i urzędem.

(*Bije dziesiąta godzina*).

Bije godzina! — Teraz trąbić zacznę.
Dziś tylko przejdę ulice znaczne;
A za to, jaką piosneczkę tkliwą,
W trąbę moję ślicznie dmuchnę,
Muszę z niej tony wydobyć miluchne;
Tego mi Rozia nie weźmie krzywo.
Ach! jak to będzie miło mej Rozi:
Słowa będę stosował do jej ładnej buzi.
Na ostatku prześliczne tryle jej zapieję;
O! tego się już wcale nie spodzieje.
A gdy kochankę odwidzę nad ranem;
Ona obejmie szyję Kukułeczki!
Łzy, nam, obojgu trysną, jak z beczki!
Aj! aj! to będzie dla mnie szczęściem niesłychanem!

(*T r ą b i*).

Baczność! baczność! gospodarze!
Już dziesiąta na zegarze!
Światło i ogień pogasić w domu,
Aby stąd szkody nie było komu.

(*T r ą b i*).

Moja sroczko! moja duszko!
Gagatku serca mojego!
Pod pierzynę schowaj uszko,
I używaj snu smacznego.

Niech ci noc przejdzie spokojna;
Niech cię omija mor, głod, i wojna;
W grzechach nie schodź z tego świata!
Dobra noc! tra ta, tra, ta, ta, ta, ta.

(*Odchodzi trąbiąc, i powtarzając wiersz ostatni: słychać go jeszcze chwilę, ale coraz dalej.*)

ODDZIAŁ VIII.

WIATROWICZ I GRYZMOŁKA *(z kwiatami).*

WIATROWICZ.

Przyjacielu! czy słyszysz Kukułeczki śpiewy?
To znaczy lato szczęścia, będziesz miał feliksa;
Wszystko się uda, tylko strzeż się krewy,
Nie zrob mi jakiego kiksa.

GRYZMOŁKA.

Nie troszcz się, coś mi wprawdzie poddaje do ucha;
Że droga moja kręta, łodka losu krucha....

WIATROWICZ.

Terefere, nic więcej: kochanku zbyt czuły,
Przy twojej beli znikną te skrypuły.
Ktoż się namyśla w tak nagłej potrzebie?

GRYZMOŁKA.

Pewnobym kroku nawet nie zrobił bez ciebie.

WIATROWICZ.

Stało się! przechodzimy Rubikon, i basta.
Właśnie powraca nasz opiekun z miasta.
Ha! ha! interes idzie doskonale,
Teraz mu figla, aż miło, wypalę. (*Słucha*).
Zdobycz moja bardzo bliska;
Jeżeli dziś od śmiechu nie pęknę, moj bracie,
To mnie już kaduk nigdy nie spiska.

ODDZIAŁ IX.

DAWNI I KUKUŁKA.

KUKUŁKA,

(*wychodząc na scenę, raz jeszcze zatrąbił*).

Djablem się zmęczył w ostatniej kantacie:
Ach! com też przeklosował ulic i uliczek!
A tak ślicznie śpiewałem, jak jeden słowiczek!
I Rozim huknął, na *serojadę*,
Z westchnień serdecznych tęgą kanonadę.
A! jak się mają, kochani panowie? (*Kłania się*).

WIATROWICZ.

Czekać na siebie nie damy,
Patrz, oto już kwiaty mamy:

A jeszcze z ogrodu księcia! (*Pokazuje kwiaty*).
Nie prawda, że do zajęcia?

KUKUŁKA.

Ach! szarmanty!— do zazdrości!
Jak je zobaczy, to kichnie z radości!

(*Naśladuje kichanie*).

WIATROWICZ.

Jak mniemasz?

KUKUŁKA.

Dla grzecznego, jak pan, kawalera,
Serce każdej panienki zaraz się otwiera.

WIATROWICZ.

Ale co też opiekun rzeknie w owej chwili,
Kiedy ujrzy ogrodek przed oknem pupili?

KUKUŁKA.

A! dobrze mu tak, udaje młokosa;
Dostanie za to ogromnego nosa.

WIATROWICZ.

Będzie to nos porządny, nos nie lada jaki.

KUKUŁKA

Im dłuższy, tym śmieszniejszy, lepszy do tabaki.

WIATROWICZ.

Cobyś też mowił, moj dobry niedźwiadku,
Gdybyś takim był osłem, i w takim przypadku?

KUKUŁKA

Naturalnie, żebym się bardzo skonfundował;

(*Uśmiecha się*)

Ale takiemu panu wkrotcebym darował.

WIATROWICZ.

Za tak zupełne, walne rozgrzeszenie,
Wdzięczniśmy waści, i to nieskończenie.
Teraz do rzeczy!— ale bądźmy cicho;
Bo światło w oknie błysnęło;
A takie duchy nocne przyjętoby licho.
Gdyby zaś jeszcze złe się spiknęło;
I opiekun w pokoju dotąd się znajdował;
Toby nas jak niepysznych na odwach wpakował.

KUKUŁKA.

Niech cię to wcale nie obchodzi, panie;
To tylko światła nocnego miganie.

WIATROWICZ.

Dla ostrożności lepiej, że się zwinę.

Zatym niezwłocznie przynieś nam drabinę;
Po niej wejdziesz, kochanku, na daszek tej
studni,
Przepatrzyć, czem się teraz nasza piękność
trudni.

KUKUŁKA.

Na to mnie, jak na lato; od czego ta głowa?
A do nocnéj wędrowki drabina gotowa.

WIATROWICZ *do Gryzmołki.*

Teraz najlepiej zrobisz, gdy staniesz przy
ścianie;
A kwiaty miej na każde moje zawołanie.
Wpodejrzenie się przez to nie podasz nikomu.
Ukryj się więc tymczasem w Tobijasza domu;
A jeźli się udadzą nasze śliczne plany;
To zaraz do mnie wychodź, na znak tobie dany.

KUKUŁKA.

Do mego domu? O! z wielkim honorem;
Drzwi moje nigdy nie stoją otworem.
Bez mojej wiedzy tam wejść się nie godzi;
To nie cud świata, że się wkradnie złodziej.

WIATROWICZ.

Tu więc stać mamy? a ja się założę,
Tak nas kto łatwo przydybać może.

Niebrak ci klepki, miej wyrozumienie;
Że nam trzeba usunąć wszelkie podejrzenie.

(*Daje mu pieniądze*).

Wszak nie odmowisz łaski w tym względzie?

KUKUŁKA (*do siebie*).

Dwa talarki, jak ulał. (*Głośno*) Niechże i tak będzie.

(*Do Gryzmołki*).

Kochany panie, już zgoda znami;
Proszę ustanąć za mojemi drzwiami.

(*Gryzmołka i Kukułka odchodzą do domu*).

ODDZIAŁ X.

WIATROWICZ; *potym* KUKUŁKA (*z drabiną*).

WIATROWICZ.

Tysiąc mam pociech z tym oryginałem;
Już się do rytu z niego naśmiałem;
Bo też to gawron, gawron, co się zowie,
I w postępkach i w mowie.

KUKUŁKA.

Oto drabina.

WIATROWICZ.

Marsz na dach w tej ciszy;
Na całym rynku nie słychać i myszy.
Teraz pan Amor niech nam rękę poda.
A waści, jeźli wola, nie minie nagroda:
Czy tylko masz odwagę?

KUKUŁKA.

Oho! jestem zuchem;
Mnie nie ustraszy, jak dzieci, kożuchem;
Tegom w niejednej dowiodł tarapacie.

WIATROWICZ.

Pokaż, żeś smiałek, dalej, moj bracie!
Ruszaj do gory, ja trzymam drabinę.

(*Kukułka idzie po drabinie; i włazi na dach studni*).

KUKUŁKA.

Jestem.... Ale podobno, że mam głupią minę;
I może jeszcze karku stąd nakręcę?

(*Wiatrowicz uderza w ręce*).

KUKUŁKA (*z bojaźnią*).

Coż to jest?

WIATROWICZ.

Oto przeziębły mi ręce.

KUKUŁKA.

To wstyd, kiedy kochanek na zimno się żali.
Sza! cicho!

WIATROWICZ.

Tobijaszu drogi, luby, złoty!
Posyłaj oczy, gdzie moje pieszczoty.
Coż tam?

ODDZIAŁ XI.

DAWNI. GRYZMOŁKA I ROZIA *(wychodzą z domu)*.

GRYZMOŁKA *(z cicha)*.

Pojdź, Roziu!

ROZIA *(z cicha)*.

Niebo niechaj nas ocali!

GRYZMOŁKA *(z cicha)*.

Wierzaj mi, doskonale pojdą nam dziś rzeczy.

KUKUŁKA

(zaglądając w okno Burmistrza).

Zda mi się, że opiekun pieśń wieczorną beczy!
Widać mu z twarzy, jakie z niego cielę.

WIATROWICZ.

Prawda! (*Zcicha*) Żegnam was! szczęście niech wam sprzyja samo.
(*Głośno*) On ma we dnie i w nocy oleju nie wiele.
(*Zcicha*) Koniki was czekają za północną bramą.
Ja nie zadługo połączę się z wami.

GRYZMOŁKA (*zcicha*).

Niech ci Bog płaci!

ROZIA (*zcicha*).

Radości mej łzami
Nie pogardzaj, wybawco!

WIATROWICZ (*zcicha*).

Tylko dalej! dalej!
Trudno jest podobnego upatrzyć zdarzenia.
Adje!

ROZIA I GRYZMOŁKA (*zcicha*).

Adje!

WIATROWICZ (*zcicha*).

Do zobaczenia!

(*Rozia i Gryzmołka odchodzą*).

WIATROWICZ (*głośno do Kukułki*).

Coż tam nowego wasze upatruje?
(*Zcicha*) Dzięki Niebu! jużeśmy dzieła dokonali.

KUKUŁKA.

(*Patrzy w okno Burmistrza*).

Panna siedzi przy stole i— *mąkolizuje*;
Zdaje mi się, że teraz o panu myślała;
Bo jak miech w kuźni potężnie wzdychała.

WIATROWICZ.

A to ślicznie!

KUKUŁKA.

Czekajmy! nim kwadrans upłynie,
Duży nos opiekuński już będzie w pierzynie.

WIATROWICZ.

Zje kata, jeźli z matni teraz się wycofa.

KUKUŁKA

(*pokazuje na nosie*).

Jemu o jedno piętro nadrośnie kilofa.

(*Wiatrowicz odejmuje drabinę*).

Coż to u krocset? ja muszę zejść na dół.

WIATROWICZ.

Za pozwoleniem! nasz ziemski padoł,
Tymczasem, rozumie się, może aż do rana,
Wcale a wcale nie dla acana.
Niech tu Kukułka kuka, z powietrza korzysta;
Mniejsza, choć koło nosa wiatr nieco pośwista.

KUKUŁKA.

Czyś pan oszalał? czy myślisz dopiero?

WIATROWICZ.

To, co zrobiłem, jest zero,
Naprzeciw tego, co zaraz ogłoszę:
Rozia z kochankiem uciekła na piękne;
Jakem poczciwy, uciekła:
Już są daleko, jak wnoszę.

KUKUŁKA.

A do gorącego piekła!
Ja tu ze złości pęknę.

WIATROWICZ.

Po co się gniewać? gniew zdrowiu szkodzi.

KUKUŁKA.

Oddaj drabinę, ścigać ich muszę!
I że dogonię, przysięgam na duszę.

WIATROWICZ.

Raczy tam zostać szanowny dobrodziej.
Niebądź tak prędki i żwawy.
Adjc! życzę mu szczęśliwej zabawy.

(*Śpiesznie odchodzi*).

ODDZIAŁ XII.

KUKUŁKA,

(*sam na dachu studni, poźniej sąsiedzi jego, w oknach swoich domow*).

Ja nieszczęsny stroż nocny, z dradzony, zgubiony,
Ja najpierwszy urzędnik nocnego porządku.
Przepadłem! ktoż mi teraz udzieli obrony?
Coś mi ciężko na sercu, i w biednym żołądku.
Powieszę się z rozpaczy! dalibog, powieszę!
I coż zrobię dobrego? jeszcze ich ucieszę.
Nie, nie, z gory skoczyć wolę;
To powiedzą: oj! głupiec, osieł, on, z miłości,
Pogruchotał sobie kości;
Najmniejsza trawka nie rośnie na dole!
A choćbym skoczył, jeszczeby rano
Ze mnie się haniebnie śmiano;
Że się do skokow nigdy nie sposobił,
A *stulto michale* zrobił.

Co za przeklęte nieszczęście!
Jutro chłopaki rozkrzyczą po mieście,
Żem na tym dachu siedział za pokutę;
A moja Rozia za całą fatygę,
Mnie, mnie, opiekunowi pokazała figę.
Jedenasta wybije za lada minutę;
A jeźli nie zatrąbię, to już po urzędzie!
Czy tam nie ma nikogo? nikt nie da pomocy?
Czy tu do dnia sądnego Kukułka stać będzie?
Wszyscy porządnie chrapią, zwyczajnie jak
w nocy.
Choćbym się rozpękł, nieboże,
Nic to nie pomoże!
Otoż zatrąbię, tak, zatrąbić muszę,
Aż całe miasto ogłuszę;
Niech się zlecą wszystkie gminy;
Niech spadną z dachow kominy.

(*Zaczyna mocno trąbić*).

Pan Rura, pierwszy sąsiad.

A coż u krocset czartow! ten truten przeklęty,
Trąbi i trąbi, jakby najęty.

Pan Tuz, karciarz, drugi sąsiad.

A bodajżeś ochrzypiał! bodaj złamał szyję;
Byłbym zrobił ślicznę pliję.

Jak mi zabeczał, ocalił bankiera.
Bodajeś nigdy nie znał, co kozera!
Co nasz ślachetny lancknecht! wołoszyn! faraon!
Boston! kupki! fortunka! kostki! ćwik! ruleta!
Co ruźnuar! ekarte! nie znał, co pikieta!
Komers i helbich!— i.... i.... et cetera!

Pan Birbancki, elegant, trzeci sąsiad.

Morbleu!— niechaj cię jasny piorun spali!
Właśnie miałem sen słodki, sen nad podziw miły:
Cztery szarmantki do mnie się zbliżyły:
Jedna mi ślubną podała obrączkę;
Już już ująłem jej rączkę;
Już się w kochanka rzucała objęcie;
Byłoby przyszło.... ach! tak! i tam dalej!
A wtym, jak baran, zabeczał przeklęcie:
Sen miły zniknął! *oh ciel*! tyranie,
Niechaj ci nigdy nie stanie,
Na myśli żadna pamiątka serdeczna!
Niech imie twoje zatai noc wieczna!

Pan Zgryzota, człowiek osłabionych nerwow, czwarty sąsiad.

Zmiłuj się! nie dmij w trąbę, nie dmij tak bez przerwy!
Niegodziwcze! zabiłeś wszystkie moje nerwy.

Poczekaj! zaraz jutro pozwy ci dopieką;
Będziesz musiał opłacać doktora z apteką.

Pan Bajtała, piąty sąsiad.

Czego się ten na dachu potępieniec wierci!

Panna Bielidełko, elegantka, szosta sąsiadka.

Ach! gotujcie na niego dyby i kańczugi;
Pobudził biedne moje pieski i papugi;
Bezsenność je nabawi kataru i śmierci.

Pan Łapowicz, Burmistrz, siodmy sąsiad.

Czy go licho nadało! z przeproszeniem panow,
Właśniem obliczał rejestra kubanow,
To jest nie moich, bo się brzydzę niemi,
Ale tych, ktore ławnicy pobrali:
A ten, jak beknął, niech go piekło spali!
Dalibog! ja myślałem, że trzęsienie ziemi.
Ja Burmistrz, ja rozkażę, powagą urzędu,
Wpakować cię do kozy, bez żadnego względu!

Pan Derus, kapitalista, lichwiarz,
osmy sąsiad.

Miasto musi zubożyć, musi z tym cymbałem!
Właśnie o szczęściu jego mieszkańcow myślałem;
Jakby kapitaliki rozdać między biednych,
Brać po sto od sta procentu od jednych;

A od drugich po dwieście: głupiec! swemi ryki
Niemiłosiernie pomącił mi szyki!

KUKUŁKA.

Ej! co tam, moi panowie!
Wam interesa na głowie;
Mnie choć dokucza najgorsza bieda;
Każdy wyłaje, nikt wsparcia nie da.
Rozia moja uciekła
Z gachami, co rodem z piekła!
Zginąłem! ze mną już po Europie!
Wnajbliższym stawie zaraz się utopię.

(Znowu mocno trąbi).

Czosnek Żydek, dziewiąty sąsiad.

Aj waj! ten ganef robić niepokojow!
To grozić śmierciow! to wielkich rozbojow!

Pierwszy sąsiad.

Moj ty nocny gagatku!
Przestańże trąbić w ostatku.

Piąty sąsiad.

Niegodziwe stworzenie!
Zakończ twoje trąbienie.

Burmistrz.

Niechże ci trąba raz się ustatkuje;
Bo cię w najgłębsze wtrącę więzienie.

Czwarty sąsiad.

Ach! *mon dieu*! serce mi strasznie *palpituje*!

Drugi sąsiad.

Słyszysz, hultaju? porzuć te żarty!
Bo ci na łeb rzucę karty;
A mam ich stos nie mały.

Trzeci sąsiad.

Siedzże cicho, pokiś cały;
Bo odżałuję flaszek od pachnących wodek,
I łeb ci niemi rozwalę.

Elegantka.

Kiedyż przestanie beczyć ten dudek?
Ja na niego wyrzucę papiloty moje,
A nawet wszystkie żurnale.

Pan Fant, skąpiec, dziesiąty sąsiad.

Poczekajcie! ja kurtę najlepiej mu skroję;
Rzucę na niego parę mych pantofli,
I oskrobiny z kartofli.

A jeźli jeszcze tem go nie dobiję;
To mu czart chyba nakręci szyję.

KUKUŁKA.

Rozię młokosy porwali jak swoję:
I ja się na dach, Bog wie, jak wyniosłem!
Zawsze chwaliłem mozgownicę moję;
A przeciem został kapitalnym osłem.

(*Zasłona upada.*)

ROZPRAWA

O POEZYI NIEMIECKIEJ.

Rozum i wyobraźnia człowieka dały życie światu umysłowemu, rozum i wyobraźnia użyły go na pociechę serca. Bo kiedy zmysłow nie bawią, i nie zachwycają widoki natury; w tenczas najpiękniejsze skarby rozwija przed nami świat umysłowy, świat zachwycających urokow, świat bez granic, to niewyczerpane źrodło utworow piękności w sztukach nadobnych, i dziełach wynalazku wszelkiego rodzaju. Z niego powstały, i do niego należą płody jeniuszu ludzkiego: a kto je poznać i użyć zdolny, tego praca przyniesie ludzkości pożytek; bo trafi do serca i zachwyci rozum, jako czerpana ze skarbu godnie zebranego, i zachowanego przez rozum, przy wyobraźni pomocy. Mowiąc wyłącznie o poezyi, jako najpierwszej mieszkance młodego świata, zapytujemy się najprzod, jakie są drogi, jakie sposoby, ktoremi tworcy

---

Niniejsza rozprawa, co do samych epok, jest wyciągiem z Dzieła niemieckiego w 5 tomach: Teut oder Theoretisch praktisches Lehrbuch der gesammten Deutschen Sprach-wissenschaft— von Dr. Theodor Heinsius— Berlin 1835: *a mianowicie z Tomu* 4.

dzieł jeniuszu najpewniej trafiają do powyższego celu? Może jest niemi dźwięk stylu, i wysłowienia? może wyrazy dobrane, i mile wpadające w ucho? Bynajmniej; a na to mamy objaśnienie i przykład w literaturze francuzkiej, z czasow gładkiej dworszczyzny; gdzie zdania ogolne, wzorem nadętego Seneki, ubrane w ozdobną sukienkę słow brzmiących; gdzie obrazy szumne zastępują miejsce naturalnej prostoty, i prawdziwej piękności. Mało tam żywiołu dla serca: a pojęcie nasze męczy się ściganiem gornych sentencyj, ktore jak Cyklopy, w tej kuźni wymuszonych, ale ozdobnych opisow, i sposobow mowienia, bez ustanku dzwonią nam w uszy. Jednak ta oschłość pisarzy dawniejszych już i od Francuzow ocenioną została. Oni to swoję dawną poezyę nazwali poezyą dworu: mo żnaby ją w ogolności nazwać poezyą salonową. Nowsi ich poeci, na ktorych czele stoi z tryjumfem dumający, i głęboki *Lamartyn* (La Martine), bystry i śmiały *Hiugo*, (Hugo), dowcipny i wesoły *Beranże* (Beranger), poszli za lubą naturą i sercem, biorąc przykład z Anglikow i Niemcow, ktorych poezya, pomimo zmian rożnych, utrzymała się na szczycie doskonałości swojej, jaką jej zapewniło znamie rzetelnego pożytku ludzkości, piętno czystej, naturalnej, i ujmującej prostoty. Niemając zamiaru w tym czasie

porownywać płodow poezyi obu tych narodow, mowić tylko będziemy o pisarzach niemieckich: bo i ten powod skłania nas do tego, żeśmy sąsiadami Niemcow; że utwory ich jeniuszu są wiernym obrazem natury.

Poezya niemiecka obejmuje cały zakres Fantazyi, wciska się do najskrytszych tajnikow duszy: zgłębia, ocenia, wyjawia, podnosi, uzacnia jej uczucia: a jako nadobna przyjaciołka filozofii, moc jej rozgłasza, i upowszechnia wyższe pojęcia, czyniąc je dostępnemi ludowi: cnotę w najpowabniejszej, w ubostwionej postaci maluje: poznaje naturę, i tak opisuje, jak ją pojmujemy sercem dla niej bijącem; nie zna żadnych scieśnień i granic; jest roskoszą ludu myślącego, i czującego z niewinną prostotą: jest wyrocznią jasną i dostępną każdemu; w ktorego sercu jeszcze mocne czucie żyje dla natury: jest opiekunką najdroższych pamiątek: jest miłą pocieszycielką serca; bo świat obecny malując, wyrywa je ze szkodliwego czasem upojenia zmysłow, z otchłani goryczy, z okropności zgrozy: i zwolna, przyjazną ręką, wiedzie na drogę posypaną kwiatami, za ktorą jej przepowiada krainę nieśmiertelnej radości, spełnienie wyższych upragnień, prawdziwe niebo cnotliwej nadziei. Bo przyznajmy to sami, czego nawet Niemcy, pomimo własnej miłości dla

ojczystej mowy zaprzeczyć nie mogą; że tylko wyniosły jeniusz mogł tego cudu dokazać, aby język tak twardy, jakim był początkowo niemiecki, zamienić na mowę serca, na mowę prawdziwie poetycką, nieustępującą w tym względzie jezykowi greckiemu, a może wyższą nad rzymski: zamienić na mowę przyjemną dla ucha i duszy, nie mocą miłego dzwięku; bo na tem i dzisiaj zbywa jeszcze językowi Niemcow; ale czarownością wewnętrznych powabow, pięknością płodow nią objętych, w ten sposob, że słuchacz, albo czytelnik zapomina zupełnie o niemiłym rozdźwięku; a zachwyconemu rzeczą, zdaje się, że słyszy jakiś język Armidy, chwytający za serce, i przenikający do serca; ktory możnaby w tym względzie przyrownać do skromnego, i światłego męża: on nieraz na pozor nie wydaje się bynajmniej, czem jest w istocie; ale gdy usta otworzy, i swojego rozumu bogactwa rozwinie, wtedy wszystkich zachwyci, a nawet, chociażby powierzchowność jego była z początku niemiłą, pociągnie wszystkich ku sobie.

Ale przejdźmy już do uwag, bliższych celu naszego, do badań, jakie przyczyny tak wzniosły poezją niemiecką? W tem miejscu wypada wspomnić w krotkości o jej losie, w rożnych epokach: bo może uwagi względem nich poczynione te nam powody najlepiej wyjaśnią. Litera

turę niemiecką dzielą na siedem okresow, zaczynając od najdawniejszych czasow.

Pierwszy okres nazwany pogański, i chrześciańsko-gotycki, nie nastręcza nam ważnych postrzeżeń względem poezyi. Życie mężnych Giermanow, tych najgroźniejszych nieprzyjacioł Rzymian, było w początkach wolne od uniesień, sprzyjających duchowi poety. Lubili wprawdzie wesołość i uczty; ale to, rownie jak boje, mogło być jedynie powodem ułożenia krotkich pieśni, na wzor *skoliow* i *peanow* greckich, ktore za świadectwem Tacyta śpiewali, a ktorych może, podobnie jak u sąsiednich Gallow, tworcami byli *Bardowie*.

W drugim okresie, noszącym nazwę frankońskiego, od frankońskiej niemczyzny, już mamy dzieło poetyckie Otfryda, *Harmonie ewangieliczne*, ważne dla badań owczesnego języka; ale mało znaczące we względzie poezyi, ktorego dziś, bez pomocy właściwego słownika, i objaśnień, rodowity Niemiec zrozumić nie może. Lecz Karol wielki dał pierwszy popęd, zaprowadzeniem śpiewu kościelnego, duchowi poetyckiemu Niemcow, ktory się poźniej tak śmiało, i w tak znaczącym sposobie dał poznać.

Trzecim, i najważniejszym okresem jest okres tak nazwany *Śpiewakow miłości*. Wojny krzyżowe za panowania szwabskich Cesarzow

ożywiły ducha rycerstw, który pomiędzy ludem giermańskim nowe rozetlił życie. Rożne przechody, i liczne wędrowki na Wschod, a szczególniej do Konstantynopola, wpływały dziwnie na ulepszenie bytu kraju w ogolności, i ogładę surowych obyczajow. Tam śpiewacy Niemcow poznali świat nowy, świat rozkoszy, świat zadziwiających zjawisk i uczuć, o ktorych dotąd nie mieli żadnego pojęcia: tam ich serca zapalił duch pobożności, i miłości, ktory stanowi istotę romantycznej poezyi. Przemiana także ostrego języka Frankow, na łagodniejszą daleko mowę *allemańską*, najdzielniej przyłożyła się do tego; że poezya Niemcow gornym i pewnym polotem zapuściła się odtąd w świat prawdziwego natchnienia, i rzetelnej piękności.

Sąsiedztwo *Trubadurow*, czyli śpiewakow Prowancyi, ktorych język był milszy dla ucha; i gdzie na dworach panow, i książąt kwitnęła poezya, i miała swoje znaczenie, przy uroczystościach, i ucztach, niezawodnie było silną zachętą dla Niemcow, ktora ich czucie w krainę wyższą uniosła; i tam niewyczerpane płody wyobraźni ich rozognionej duszy rozwinęła. W tym okresie słynęli szwabscy poeci albo śpiewacy miłości *Minnesaenger*, tak nazwani od wyrazu dawnego *Minne* miłość; ponieważ osnową i przedmiotem głownym ich pieśni było to uczucie.

Ognista wyobraźnia Wschodu, natchnęła rycerzy średnich wiekow najwyższym, i najślachetniejszym zapałem, w ubieganiu się o względy płci pięknej. Celem tego zapału było najczęściej urojone jestesswo, idealna piękność, jaką wyobraźnia żywa, albo rycerskie powieści, w obrazie miłej rzeczywistości podały. Stąd uwielbienie bez granic, wynajdowanie nadzwyczajnych przygod, i niebezpieczeństw, i narażanie własnego życia, aby oglądać jakie bądź podobieństwo do ideału marzenia. Dowcipny *Serwantes*, w sławnym *Donkiszocie*, wyśmiał niedorzeczne powieści o błędnych ryczerzach; jednak poezya miała w nich najobfitsze źrodło; a sam *Arjosto*, *w Orlandzie szalonym*, tylko je podniosł do sfery wyższej, tylko uślachetnił, śmiałą wyobraźnią, i żywem uczuciem. I to z pewnością możemy powiedzić; że gdy zniknęła żądza do rycerskich wycieczek, i przygod, za wprowadzeniem lepszego porządku społeczności, i ulepszeniem wojska, i sposobu wojowania, wyschło też razem to niewyczerpane źrodło oryginalnej, i bujnej poczyi, ktora jedno uczucie serca ludzkiego, w tak odmiennych postaciach, z taką rozmaitością wystawiać umiała; że liczne i piękne utwory *śpiewakow miłości*, zawsze będą zadziwiać, świeżością pomysłow, i oryginalnością tylu dowcipnych zwrotow.

Jakoż, w istocie, nie może nie dziwić tak znaczna ich liczba; a mnostwo zapewne niepamięć zakryła, kiedy uczony *Bodmer i Brajtinger*, w zbiorze ich pieśni, (ktory nosi nazwisko *Zbioru Manessa*), wynalezionym w krolewskiej książnicy w Paryżu, umieścili płody stu czterdziestu poetow.

Śmiało to wyznać można, że Niemcy mają w tym względzie najpiękniejsze skarby, nietylko co do poezyi, ale i co do dziejow, owczesnego charakteru, i ducha swego narodu. A nawet *Zbior Manessa* już zastąpiły poźniej daleko lepsze wydania pieśni śpiewakow miłości, z objaśnieniami *Hagiena*, *Müllera* i innych. Uczeni wydawcy, mając na uwadze, nietylko poezyą, ale i mowę ojczystą, nieocenioną przysługę zrobili swojej literaturze.

Dziwiąc się zaś nadzwyczajnej obfitości owych płodow, tym jeszcze uwielbienie nasze powiększymy dodatkiem, tą chlubą dla niemieckiego narodu; że w liczbie poetow znajdujemy zaszczytne imiona Cesarzow, Krolow, i Książąt, jak na przykład *Fryderyka* I. *Henryka* IV. *Fryderyka* II. *Konrada* IV. *Wacława*, Krola Czeskiego, i innych.

Z całą więc słusznością nazywają Niemcy owe czasy *wiekiem kwitnienia poezyi niemieckiej*; bo uważając miłą naturalność, i przeni-

kliwy odgłos uczucia, ktore jest pierwszym zarodem świata zmysłowego; i śmiałą swobodę myśli, ktora w tych pieśniach zachwyca; i mowę z miłem zaniedbaniem, bez wymuszenia, jak czysty ponik, łagodnie płynącą; i tę niewinną, ujmującą prostotę, w obrazach i w obyczajach; i tę serdeczność i czystość ich uczuć: przyznać musimy; że dawna literatura niemiecka, ma najpiękniejszy pomnik w dziełach śpiewakow miłości; a duch prawy giermański, duch oryginalności, jeniusz poezyi, najdzielniej wyzywa i zachęca potomkow, z tej śmiałej budowli, z tego zaczarowanego zamku; co ledwo jeszcze w obłokach marzenia, w świecie wyobraźni, pożniejsi poeci, jak *Szyller*, *Byrgier*, *Giete*, i inni, wystawić, odżywić, i zachować zdołali.

W czwartym okresie, założenie pierwszych uniwersitetow poprzedziło *reformacyą*; a nadaniem bystrego popędu myślenia przygotowało do niej umysły. Ale zaprzeczyć nie można prawdy, nadzwyczajnemu lube koniecznemu zjawisku; że ograniczyło świat poetycki, i zapał wieszczow zamknąwszy w umowionych granicach, zdołało go podciągnąć pod pewną rachubę. Mamy tu właśnie mowić o tak nazwanych *śpiewakach cechowych*, *Meistersaenger*, ktorzy wcałym przeciągu tego okresu głośnymi byli.

Odkąd wyprawy do Ziemi świętej, nie obudzały już w niemieckim narodzie ducha rycerstwa; a w miejsce lepszego towarzyskiego porządku, nastało prawo mocniejszego, ktore po wielkiej części, z powrotem rozbujałych, albo krzywdą dotkniętych krzyżowcow ma związek: Szwabia szczegolniej cierpiała od rozbojniczych napadow owych rycerzy, ktorych majątek przez długie wyprawy, albo rozrzutnością został zniszczony. Ze spokojnem życiem zniknęła poezya, i byt pomyślny ludu, przemysłem wspierany; bo każdy, zniewolony myślić o własnej obronie, mało miał czasu oddawać się słodyczy niewinnego marzenia; bo wyuzdana dzikość, i krwawa zemsta, zajęły miejsce łagodnych i miłych uczuć, ktore są początkiem i źrodłem pięknej poezyi.

Tu nawet, w pożogach zniszczenia, i między gruzami, okropnie znowu błysnęła ta prawda; że Muzy milczą wśrod szczęku oręża. Duch poetycki następnie zaczął się taić w ustroniu, a ścieśniony w obcowaniu społecznem, tracił moc swoję, wyrodził się, jakby w rzemiosło, i skrępowany został przepisami, ustanowionemi przez osoby; ktore się na to połączyły w jedno zgromadzenie, aby z obowiązku, i według pewnych prawideł wiersze układać: skąd possło nazwanie śpiewakow cechowych. Ci

śpiewacy mieli pewne ustawy, nawet na końcowki. Z poezyą łączyli melodyę muzyczną, szczegolniej w tak zwanych szkołach śpiewania, gdzie nawet były wyznaczane nagrody. Z tego powodu zgromadzali się często w kościołach, na podobne zebrania muzyczne, ogłaszane po mieście przez ludzi, umyślnie na to wyznaczonych. Do osądzenia wartości śpiewu, ustanawiano cztery osoby; z ktorych pierwsza porownywała osnowę pieśni z biblią, druga uważała na prawidła śpiewu, trzecia roztrząsała rymy, czwarta dawała baczność na melodyę muzyczną. Dwie rozdawano zwykle nagrody: jedną był srebrny łańcuch, z medałem, na ktorym znajdowało się wyobrażenie Krola Dawida, grającego na arfie; drugą wieniec, z jedwabnych kwiatow zrobiony. Częściej jednak zgromadzali się podobni śpiewacy w gospodach. Lecz nie trzeba ich brać za jedno *z poetami na prędce*, zwanemi u Niemcow *Spruchspraecher*: byli oni pewnym rodzajem improwizatorow, ktorzy na weselach, albo przy innych zabawach, składali wiersze za nagrodę pieniężną. Ale jak z jednej strony wymuszone śpiewakow cechowych prawidła ich sztuki, naprowadzają nas na tę myśl, że swobodną fantazyę zmienili na mechaniczne rzemiosło, tak z drugiej musimy im przyznać wido-

czną zasługę, we względzie ojczystego języka, i poprawy poezyi zewnętrznej. A nawet przepisy, tak zwaną od nich *tabulaturą* objęte, uważać można za pewny stopień krytyki, dążącej do ulepszenia miary śpiewu, i poezyi.

Najważniejszym poematem z tego okresu, jest powieść allegoryczna, pod nazwą *Reinke der Fuchs*, czyli, według starej niemczyzny, *Reinke de Voss*. W tym jeszcze okresie zawiązała się poezya dramatyczna, ktorej początek dał cechowy poeta *Hans Schnepper*, przezwany *Rosenplüt*. Ale to były mało znaczące pierwiastki, na wzor usiłowań greckiego Tespisa.

W piątym okresie zabłysła pochodnia reformacyi, nie tylko we względzie religijnym, ale i we względzie języka. Jednak poezya szczupłe w nim znalazła zasiłki, z powodu uczonych rozpraw teologicznych, ktoremi umysły Niemcow do poważnych badań skierowane zostały. Można ten okres przezwać najwłaściwiej okresem prozy niemieckiej; bo w nim dokonany został przekład biblii, przez naczelnika reformacyi.

Jednak i za czasow reformacyi słynęli cechowi śpiewacy, a nawet i poźniej, przez kilka wiekow. W tym czasie szczegolniej godny jest wspomnienia *Hans Sachs*, ktorego dzieła

poetyckie, jak sam o sobie powiada, liczby sześciu tysięcy czterdziestu ośmiu dochodzą. Lecz tylko z nich czwarta część znajduje się w druku. Żył lat 82, a w 74. roku życia, wydał jeszcze lepsze swoje poezye, w trzech tomach *in folio*. Poźniej wybite zostały znacznie pomnożone, w 5. tomach *in folio*; ale najdokładniejsze jest wydanie z r. 1612. przez *Krysztofa Krauzego*; a łatwiejsze do nabycia wydanie *Bertucha*, z r. 1778. w ośmiu tomach. Długo ten poeta był wyszydzany, i pogardzony od Niemcow, dopiero *Wiland* i *Giete* obronili go, i dali poznać całą jego wartość.

W szostym okresie, ktory się kończy na wydaniu Mesyady *Klopsztoka*, a dochodzi aż do połowy 18. wieku, lepsza poczya znowu kwitnąć zaczęła: a do tego szczegolniej przyłożyły się dwie szkoły śląskich poetow, w ktorych się wsławiło bardzo wielu jenialnych pisarzy. Badania także filozoficzne nadały nowy kiernnek ich myślom, zupełnie rożny od myśli greckich i rzymskich wieszczow, a nawet powabniejszy daleko, jak to szczegolniej w 7. okresie widzimy. Głęboka znajomość poczyi greckiej i rzymskiej, przy pięknem świetle filozofii, uchroniła ich od niewolniczego naśladowania, i znamie oryginalności płodom ich nadała. Jakkolwiek zaś byli i tacy, ktorzy, na-

śladując Francuzow, obce poezyi ojczystej przyswajali znamiona: jednak mając dzielnych przeciwnikow, obstających za narodowością, i charakterem właściwym, a w czasach dawnych podstawę i żywioł mającym, przemijającą tylko zrządzili jej szkodę.

Siodmą i najświetniejszą epoką dla poezyi niemieckiej, jest okres tak zwany literatury klasycznej. Wszystko, co tylko stanowić może prawdziwe bogactwo, oryginalość, jeniusz, i ducha poetyckiego jakiego narodu; wszystko, co wydać potrafiła najbujniejsza wyobraźnia wiekow poźniejszych, i dawnych, w całym świecie umysłowym; wszystko to, jednem słowem, jest w najwyższym stopniu prawdziwym skarbem, i ozdobą, niemieckiej poezyi tego okresu. Bo czy zwrocimy uwagę na epopeję, czyli na dzieła sceniczne, czy na poezyę liryczną, czyli nakoniec na poezyę dydaktyczną, w każdym wydziale, olbrzymie, ledwo pojęte, zadziwiające postępy, urocze wdzięki znajdziemy; i z wielką prawdą utrzymywać to można; że kto z potrzebną mowy znajomością, i nieuprzedzonym umysłem przystąpi do czytania poetow niemieckich, ten niezawodnie, ujęty ich mocą, bystrością, i obfitością dowcipu, miłą i naturalną prostotą, i, że tak powiem, ich serdecznością bez granic, z jaką nauczyć, i zająć pragną, bez popi-

sywania się prożnego; zostanie na zawsze wielbicielem poczyi tego narodu, i nie będzie żałował, jeżli do czasu jakiego na bok odłoży dzieła poetyckie Grekow i Rzymian.

Ten okres zaczyna się na śmierci Klopsztoka, a kończy się na śmierci Gietego, ktora przypadła w roku 1832.— Dzielą go Niemcy na dwie części; to jest na czas, w ktorym pisali *Klopsztok*, *Lessing* i *Wiland*; i na czas, w jakim żyli *Giete*, *Herder*, i *Szyller*. Zbyteczną byłaby pochwała tych wielkich jeniuszow, ktorych słusznie nazywają bohatyrami swojej literatury; bo czyli może być co wznioślejszego nad nieśmiertelne ich płody? Kto chce poznać serce ludzkie, niech odczyta z uwagą *Mesyadę* Klopsztoka, napisaną brzmiennym hexametrem, wydoskonalonym od niego; niech się szczegolniej zagłębi w dziełach poetyckich Szyllera: tam on w każdym względzie błogą pociechę, słodką naukę, i niewysłowioną znajdzie przyjemność. Ten godny uczeń, wielbiciel, naśladowca Szekspira, mocą swojego jeniuszu tak go zająć potrafi, czyli to swoją *Maryą Sztuart*, czyli *Narzeczoną Mesyńską*, czy *Don Karlosem*, czyli w swoich odach, i pieśniach; że tysiąc razy będzie powracał do niego, i zawsze nowe powaby, nowe myśli, i nową zachętę w nim znajdzie. Pomimo także

pewnej zawiłości w niektorych dziełach Gietego, jak n. p. w jego *Fauście*, w ktorym, zdaje się, że chciał wyczerpnąć głębokie badania filozoficzne, albo raczej objawić spekulacje filozoficzne, jakim dali popęd w swoich dziełach *Kant* i *Fichte;* czytanie jego poezyi szczegolniej *sielskich* wprowadza w nowy świat miłej wyobraźni, czarującej wszelkiemi wdziękami fantazyi, na jaką jeniusz poety mogł się dotąd zdobyć i wysilić.

Lecz nietylko wyniosły *Klopsztok*, *Szyller*, i *Giete*, mogą słodko zajmować umysł i serce nasze; wieleby ten przyjemności stracił, ktoby nie poznał nauczającego *Lessynga*, dowcipnie żartobliwego *Wilanda*, śmiałego *Herdera*, *Ramlera*, *Vossa*, *Glajma*, *Pfefla*, słodkiego *Giesnera*, *Lichtwera*, *Kiernera*, *Byrgiera*, *Grylparcera*, *Mülnera*, i tylu innych znakomitych poetow niemieckich, o ktorych słusznie powiedzić można; że wyczerpali, zwiedzili, poznali, w ostatnich zakątkach, piękną krainę świata umysłowego, ten raj poezyi, ten nowy olimp tegoczesnych poetow, daleko milszy dla serca, i powabniejszy dla umysłu; że jego ozdobą nie est przemijająca mitologia; ale wielkie, zachwycające obrazy, potęgi, wszechmocy, i dobroci prawdziwego Boga, dostępne badania mitych tajemnic serca, i zajmujące przygody ludzko-

ści. Dodajmy jeszcze i tę okoliczność, bardzo ważną dla rodu ludzkiego; że w niemieckiej poczyi moralne uczucia podniesione są do najwyższej godności, sposobem powabnym, tkliwym, rozrzewniającym, i trafiającym do każdego duszy; do tej godności, ktora mocno wzrusza, ulepsza i poprawia serca zepsute, i obojętne dla innych wrażeń, takich nawet, jakie pochodzą od okazałości zewnętrznej, przedmiotow szanownych, powagą świętości wzniesionych. A ta myśl tchnąca ludzkością, i prawdziwą filozofią; że i złoczyńca jest jeszcze politowania godny; że chociaż go zimny rozum potępia, opłakuje go serce nieobumarłe dla czucia, ktore się nad nim w żadnym względzie pastwić nie każe; (jak to robił, i jeszcze robi lud prosty, na miejscu tracenia zbrodniarzy), gdzież najpierwej powstała, według zasad, i myśli, Boskiego Założyciela wiary chrześcijańskiej; gdzie mocniej wydana; gdzie piękniej jaśnieje, jeśli nie w poczyi niemieckiej? gdzie, jeśli nie u Niemcow stała się chlubnym powodem, do tylu zbawiennych zakładow ludzkości? Z tą właśnie myślą ma pewny związek, następująca powieść allegoryczna *Herdera*, pod tytułem, DZIECIĘ LITOSCI. (*Das Kind der Barmherzigkeit*), w tych słowach:

Nim jeszcze Wszechmocny stworzył czło-

wieka, wezwał Aniołow dla naradzenia się z nimi.

„*Nie daj mu życia! odezwał się Anioł prawo-*
„*ści, on będzie niesprawiedliwym, względem*
„*swoich braci, i nieubłaganym dla słabszych.*
„*Nie daj mu życia! odezwał się Anioł pokoju.*
„*On ziemię zbroczy krwią ludzką; a pierwszy*
„*w rodzie swoim, zabije własnego brata.*
„*On twoję świętość kłamstwami poniży! tak*
„*mowił dalej Anioł prawdy; choć przyozdo-*
„*bisz oblicze jego własnem podobieństwem*".

Podobnie mowili inni posłańcy, inni Anieli wszystkich własności Jehowy. Wtym zbliżyła się do jego tronu Litość, najmłodsze i najmilsze Dziecię Ojca Wiekow, i rzekła z lubością:
„*Daj mu życie! daj Ojcze; stwórz go na swoje*
„*podobieństwo; niech będzie wzorem, niech bę-*
„*dzie obrazem twojego miłosierdzia, i twojej*
„*dobroci. Kiedy go inni opuszczą, ja się zbli-*
„*żę do niego, ja mu dopomogę; a nawet jego*
„*błędy ku dobremu nakłonię. Właśnie dla te-*
„*go, że łatwy do upadku, że słaby, napełnię*
„*jego serce uczuciem politowania, i miłosier-*
„*dzia dla słabszych. A kiedy zboczy z drogi*
„*pokoju i prawdy; kiedy obrazi sprawiedliwość;*
„*i słuszność; naowczas błędu skutki, łagodnie*
„*naprowadzą go do niej*".

Ojciec świata, i ludzi, wysłuchał najmłod-

sze Dziecię: dał istnienie człowiekowi, stworzeniu słabemu, które i w błędach nawet jest wychowankiem Litości, synem Miłości, nieopuszczającej go nigdy, pragnącej jego poprawy.

Człowieku! pamiętaj zawsze, jaki twój początek, ile razy dla innych jesteś niecnotą, i niesprawiedliwym. Litość wybrała ciebie, Miłość i Litość dała ci opiekę, wykarmiła cię Matki piersiami; okaż to jawnie, żeś godnym tego wyboru, żeś godnym tak lubej opieki.—

Nakoniec żadna literatura nie miała tak sprzyjających okoliczności, jak niemiecka. Podział na mniejsze państwa, szczególniej pomagał, i pomaga jej wzrostowi, przez ubieganie się narodów i panujących. Okażmy to przynajmniej w jednym szczególe. W sielankach naprzykład, pomimo całej prostoty i naturalności, Grecy zajęci są jedynie pasterzami, i swoją mitologią; Niemcy zaś nie wahają się pisać w nich o wszystkiem, co ludzi może obchodzić. Luba miłość dziecinna, tkliwa miłość Rodziców, pożycie domowe, i tysiące innych okoliczności, czyliż nie uwieczniają sławy ich poezyi, w tym nawet względzie? Człowiek zawsze jest człowiekiem; a podobne stosunki nigdy się tak nie zmienią, jak mitologia, i nigdy nie przestaną zajmować.

Życzyć więc potrzeba każdemu narodowi, a szczególniej nam, jako sąsiadom Niemców, abyśmy

się oswajali bliżej z językiem, i dziełami tego narodu, ktory nietylko w poezyi, ale i w prozie, o wszystkich rodzajach wiadomości ludzkich myślał i pisał; nie w tym celu, aby na ich wzorach kształcić swoj język; bo to byłoby usiłowaniem daremnem, a nawet nagannem, z powodu niezmiernej rożnicy obu językow: ale dla tego, aby poznać źrodło piękności natury, źrodło wiadomości najpożyteczniejszych, źrodło niewyczerpanej przyjemności dla umysłu i serca.

SPIS RZECZY

Tomu pierwszego.

	Str:
Siedmioro dziatek. Ballada z powieści ludu	5
Dzień zaduszny. Legienda	9
Sumienie. Ballada ułożona z powieści ludu	13
Amen kamieni. Legienaa	18
Dzieci ocalone. Legienda	19
Jałmużna dziecięcia. Powieść	21
Kwiatek na grobie dziecięcia. Elegia .	23
Nagrobek.	24
Tren do corki mojej.	24
Do niemowlęcia nowonarodzonego. . .	26
Do dziecięcia.	28
Psalm 20. Dawida.	29
Osierocone dzieci do Boga.	30
Do Boga o zdrowie.	31
Do małej Jozi.	32
Do małej Andzi.	33
Miłość nieprzyjacioł. Powieść	84
Job i Jael. Powieść	39
Młody Książe. Powieść	40
Dyjogienes. Powieść	42
Kamień z napisem. Powieść.	45
Mędrek zawstydzony. Powieść.	48
Menalka i strzelec Eschines. Sielanka .	50

Str.

Iryn. Sielanka 55
Kasia. Sielanka 60
Wyjątek z Idylli. 63
Kwiaty życia. 64
Życzenie. 65
Wiązarek. 67
Do Wiosny. Sonet 67
Narzeczona. 68
Wilk i Pasterze. Bajka 70
Herkules i Junona. Bajka 71
Wilk i Baranek. Bajka. 71
Dziecię i Osa. Bajka. 73
Młody i stary Pudel. Bajka 75
Mucha świecąca, i Mucha czarna. Bajka 77
Szczygiełek. Bajka 78
Orzeł. Bajka 81
Wilk i Wrona. Bajka 82
Wyjątek z Fedry Rasyna. 85
Wyjątek z dramatu Gietego, Goetz z Berlichingen z żelazną ręką. . . 106
Stroż nocny. Krotofila z niemieckiego . 113
Rozprawa o poezyi niemieckiej. . . . 171

UWIADOMIENIE.

Szanowne Osoby, zbierające przedpłatę, raczą ją nadesłać pocztą, z listami Prenumeratorów, ktorzy w 2. tomie będą umieszczeni. Tom 2. już jest pod prasą.

Przedpłata przyjmuje się tylko do końca Marca r. b. po wyjściu zaś całego dzieła, cena podwyższoną zostanie.—

150
1321/1097
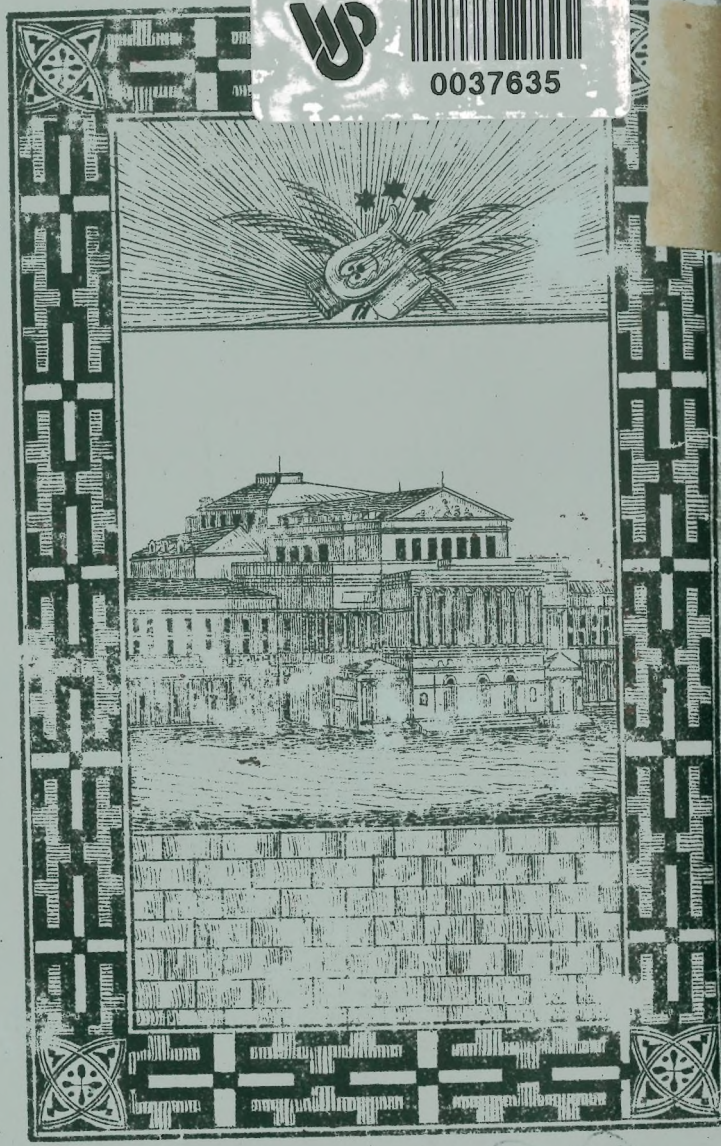
Wyższa Szkoła Pedagogiczna
w Kielcach
Biblioteka Główna
272031
Biblioteka WSP Kielce
0037635